NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop, z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 21 kwietnia 1906 r. Nr. 16.

Zagrzebani w gruzach kościoła.

(Treść na stronie 2).



Treść Nr. 16: Straszny wybuch wulkanu: Dobry sąsiad stał się groźnym. Na miejscu katastrofy. Podróż na szczyt wulkanu. Neapol w niebezpieczeństwie. Bohater nauki. — Laureaci konkursu Kochmana. — Zgon szlachetnej matrony. — Wiec nauczycielski. — Król szwedzki u Siemaszkowej. — Wioślarze warszawscy. — Kółko amatorskie we Włocławku. — Z pomocą biednej młodzieży. — Więzień, inicyator biblioteki dla więźniów. — Dzielni obrońcy pod sądem. — Z za kraty więziennej w Warszawie. — Polski rewizor w rosyjskim teatrze. — Naczelnik ratuszowego więzienia w Warszawie. — Wracają do Lwowa. — Olbrzymie wydawnictwo polskie. — Próba szczęścia. — Kraków na Emausie. — Pisarz gminny defraudantem. — Balonem przez morze. — 25 dni życia pod ziemią.
Sensacyjne powieści: **„MATECZKA“.** — Ofiary wampirów. — Zbrodnia za zbrodnią.

Zagrzebani w gruzach kościoła.

(Do illustracyi tytułowej).

Przez cały ubiegły tydzień drżał najpiękniejszy zakątek Włoch, Neapol wraz z okolicą, z obawy, czy nie przyjdzie mu podzielić losu Pompei i Herculanum, które przed dziewiętnastu blisko wiekami padły ofiarą straszliwego wybuchu Wezuwiusza. Każda godzina przynosiła przez tych kilka dni coraz straszniejsze wiadomości, które elektryzowały cały świat. Drzemiący od dłuższego czasu Wezuwiusz ocknął się, przebudził i jakby gniewny zaczął zionąć straszliwym ogniem, buchać



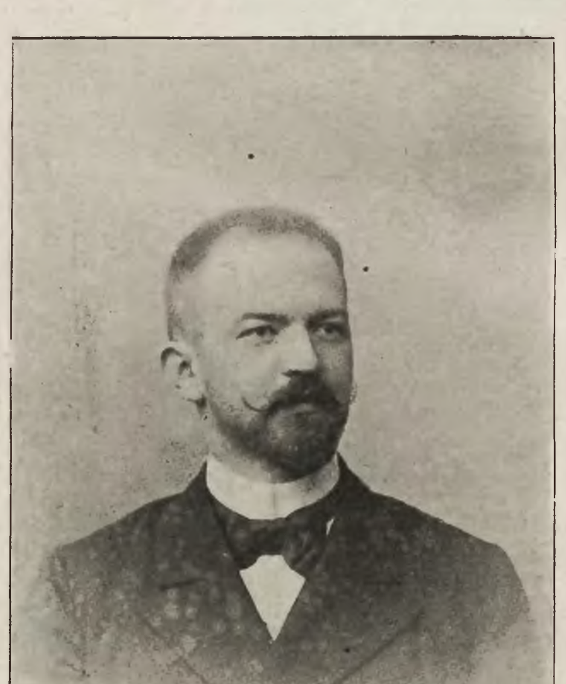
Laureaci konkursu Kochmana: Eliza Orzeszkowa, największa powieściopisarka polska, obchodząca obecnie 40-lecie działalności obywatelskiej, a obdarzona pierwszą nagrodą z fundacyi Kochmana za prace literackie.

płomieniami i rozżarzoną lawą, niosąc zniszczenie całej okolicy. Niebo zasłane było ciężkiemi, czarnemi chmurami dymu, wydobywającego się z ziejącej ogniem paszczy Wezuwiuszowej, tarcza słońca znikła, nad Neapolem i miejscowościami u stóp Wezuwiusza położonemi zapanowała noc.

Nic dziwnego, że wśród tej olbrzymiej, niesłychanej prawie katastrofy, ludność zapadła jakby w dziwny stan przytępienia i zamiast myśleć o ratunku życia i mienia, zamiast uciekać przed strumieniem rozlewającej się naokół lawy, jakby stężała od strachu w obliczu czyhającej ze wszystkich stron śmierci, poddawała się w zupełności rozpaczy i ginęła w rozżarzonej masie ognia, popiołu i lawy. Wielu z tych, którzy zginęli, mogło się było uratować, gdyby nie to oddanie się rozpaczy, czy jakaś dziwna zatrata wszelakiej możności myślenia. Jedni zamknęli się w domach i w głuchej martwocie oczekiwali swego losu, inni tłumami zalegli kościoły i mimo upominań władzy nie chcieli ich opuścić, ażeby zaraz w pierwszej chwili niebezpieczeństwa szukać ratunku w ucieczce. Całe gminy modliły się w kościołach, któ re nieraz musiano przemocą opróżniać, aby ludność ratować przed pewną śmiercią. Przychodziło przytem niejednokrotnie do walki z wojskiem, bo ludność, kobiety zwłaszcza, ufające w opiekę niebios, nie chciały na krok odstąpić od świątyni, którą, wedle ich mniemania, lawa powinna i musiała omijać.

Z pomiędzy miejscowości, zupełnie wybuchem zniszczonych, najwięcej ofiar poniosło miasteczko San Giuseppo. Strasznem zwłaszcza było zawalenie się kościoła, jakie miało miejsce w ubiegły poniedziałek. Od godziny 5 wieczorem w niedzielę padał na miasto gęsty deszcz popiołu, który z biegiem czasu stawał się coraz gęstszy. Przerażona ludność biegała jak opętana po ulicach, proboszcz naznaczył nabożeństwo błagalne na rano, ale nikt nie pomyślał o popiele, który coraz cięższą warstwą kładł się na dach, oparty na starych, zwietrzałych murach. Nabożeństwo rozpoczęło się o 9 rano. Nagle dach runął, przywalając obecnych gruzami. Przeszło sto kobiet klęczało koło wielkiego ołtarza, odmawiając różaniec. Ani jedna z nich nie zdołała się uratować; znaleziono je z pochylonemi głowami, z różańcami w zaciśniętych dłoniach. Kościół miał tylko dwa wyjścia, Ksiądz schronił się do zakrystyi, tłum rzucił się ku głównym drzwiom. 100 osób zdołało ujść, reszta zginęła. Po kilku chwilach miejsce katastrofy pokrywała warstwa popiołu trzechmetrowej grubości. Gdy pionierzy przybyli odgrzebywać zwłoki, znaleźli je w postawie stojącej, tak szybko zostały przysypane popiołem.

Illustracya, zamieszczona na tytułowej stronie dzisiejszego numeru przedstawia właśnie tragiczną chwilę, kiedy pod ciężarem popiołu wali się sklepienie kościoła, przysypując modlących się, a ksiądz z kielichem mszalnym ucieka do zakrystyi. Straszny zaiste obraz.



Fot. nadworny N. Lissa we Lwowie.

Wiec nauczycielski: Profesor uniwersytetu lwowskiego dr. K. Twardowski, który na zjeździe profesorów szkół średnich we Wiedniu, domagał się polepszenia doli suplentów.

Laureaci konkursu Kochmana.

Z końcem roku 1905 upłynął konkurs, rozpisany przez Wydział krajowy we Lwowie na dwie premie z fundacyi Franciszka Kochmana, a to jedną w kwocie 2000 kor., drugą w kwocie 1000 kor., dla dwóch dzieł w języku polskim, uznanych za najlepsze, z wyjątkiem dzieł treści religijnej i teologicznej. Na konkurs ten nadesłano 6 dzieł różnej treści. Ocenienie dzieł i przyznanie nagród należało, według warunków konkursu, do komisyi konkursowej, powołanej przez Wydział krajowy. Ustanowiona w myśl aktu fundacyjnego, komisya konkursowa odbyła w gmachu sejmowym pod przewodnictwem członka Wydziału krajowego dra Józefa Wereszczyńskiego posiedzenie, w którem wzięli udział członkowie komisyi: prof: dr Benedykt Dybowski, prof. dr Ludwik Kubala, dr Władysław Łoziński, dr Antoni Małecki, prof. dr Roman Pilat i prof. dr Tadeusz Wojciechowski. Na posiedzeniu tem przyznano:

Pierwszą nagrodę w kwocie 2000 koron p. Elizie Orzeszkowej za jej powieści i za całą działalność literacką.

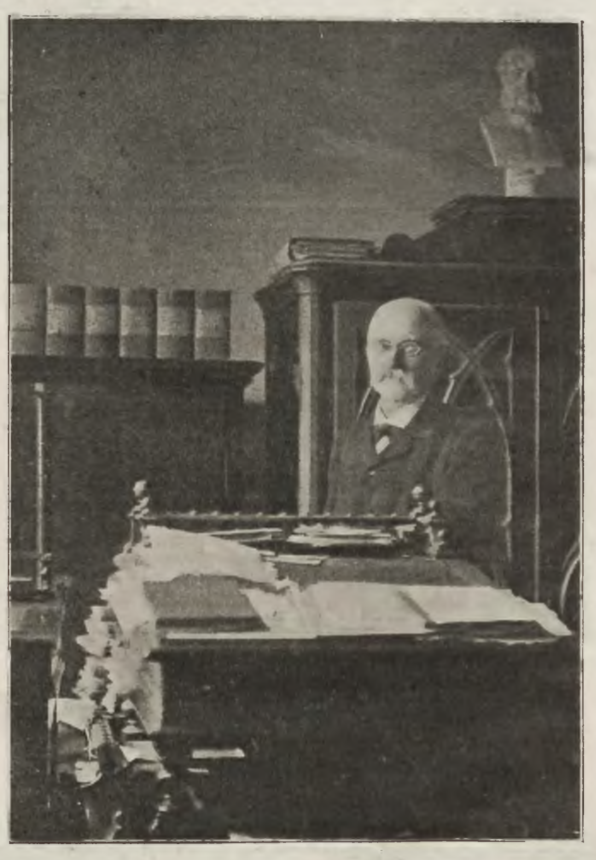
Drugą nagrodę w kwocie 1000 kor. drowi Wojciechowi Kętrzyńskiemu za jego pracę p. t. „O powołaniu Krzyżaków przez księcia Konrada“ i za całą 40-letnią działalność na polu naukowo-literackiem.

Oto portrety obojga laureatów.

Elizie Orzeszkowej należała się tym razem nagroda z fundacyi Kochmana tembardziej, ile że właśnie w roku bieżącym obchodzi nasza największa powieściopisarka czterdziestolecie pracy literackiej, a tem samem i obywatelskiej działalności.

Orzeszkowa w powieściach swoich, nawet najwcześniejszych, rozwijała takie bogactwo myśli, wskazywała takie jaśniejące blaskiem ideału cele, zwracała uwagę na tak doniosłe dla społeczeństwa polskiego sprawy, że dzieła jej stać się musiały duchową karmą całego pokolenia, którego Orzeszkowa jest chlubą i chwałą. Sprawy, poruszone w powieściach takich, jak „Niziny“, „Dziurdziowie“, „Harde dusze“, jak „Nad Niemnem“, „Meier Ezofowicz“, były sprawami, obchodzącemi w szczególności nasz naród, a pośrednio ludzkość całą. Co dziwniejsza, to fakt, że Orzeszkowa nie zaskorupiła się w ideałach swego pokolenia, ale szła ciągle naprzód. Nowe prądy, nurtujące w społeczeństwie, wieszczem odrazu oceniała okiem i szła jakby z pochodnią gorejącą „na narodu czele w nieśmiertelności królować kościele“. Ostatnie jej powieści „Ad astra“, „I pieśń niech zapłacze“ — to najpiękniejsze może kwiaty na wzorzystej błoni naszej najmłodszej literatury.

Szlachetność, idealizm, jaki tchnie z każdego wiersza jej powieści, czarująca poezya, osłaniająca jakby tęczową tkanką wszystkie jej dzieła, złożyły się na to, że całe społeczeństwo polskie



Laureaci konkursu Kochmana: Dr. Wojciech Kętrzyński, dyrektor zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, obdarzony drugą nagrodą z fundacyi Kochmana za 40-letnią działalność naukową.

żywi dla Orzeszkowej cześć i wdzięczność. Skromnym upominkiem za tę w całem tego słowa znaczeniu szlachetną i piękną działalność było przyzanie jej nagrody Kochmana.

Wiec nauczycielski.

Przed świętami obradował w gmachu politechniki w Wiedniu zjazd delegatów stowarzyszeń nauczycieli austryackich szkół wyższych. Przybyło bardzo wielu delegatów ze wszystkich krajów koronnych, a między tymi i kilku z Galicyi.

Obradowano nad sprawą reformy gimnazyów i szkół realnych i wezwano odpowiednie stowarzyszenia, aby się sprawą zajęły i przedstawiły odpowiednie wnioski. Imieniem delegatów polskich



Zgon szlachetnej matrony: Ś. p. Jadwiga Sawczyńska, patryotka-nauczycielka, zmarła świeżo we Lwowie.

zabierał głos profesor wszechnicy lwowskiej dr. Twardowski, jeden z członków prezydyum wiecu. W toku dyskusyi nad reformą szkół średnich oświadczył on, że reforma taka byłaby jedynie możliwą w drodze ustawy ramowej, w której wszystkie szczegóły pozostawione być powinny kompetencyi Sejmów. Poseł dyrektor Petelenz z Krakowa zaznaczył, że reforma szkół średnich jest koniecznie potrzebna i że jej sobie życzą wszystkie klasy ludności. Prof. Twardowski referował na zjeździe o położeniu suplentów w Galicyi i w sprawie emerytury po upływie 15 lat służby.

Zgon szlachetnej matrony.

W ubiegłym tygodniu zeszła z tego świata postać bardzo niepospolita, kobieta o umyśle niezwykle światłym, zasłużona wielce na polu naukowem i wychowawczem. Była nią Jadwiga z Ekielskich Sawczyńska, wdowa po śp. Zygmuncie, znakomitym pedagogu i pośle.

Ś. p. Jadwiga Sawczyńska (oto jej portret) była córką Aleksandra Ekielskiego, kapitana artyleryi wojsk polskich z 1830 r. i Henryki z Burzyńskich. Jako dziecko dwukrotnie z rodzicami przebywała na emigracyi we Francyi. W r. 1848 powraca do kraju, kształci się w klasztorze św. Jana i tam zyskuje patent na nauczycielkę. W r. 1858 poślubiła Zygmunta Sawczyńskiego i stała się towarzyszką pracy obywatelskiej i społecznej swego męża.

Całe życie śp. Jadwigi Sawczyńskiej, to jedno pasmo rzetelnej, pięknej i użytecznej pracy, obowiązków spełnianych w imię Boga i na pożytek bliźnim. I każdy, kto ją znał bliżej, kto miał szczęście czerpania z bogatej, hojnej skarbnicy jej wysokiej wiedzy, kto miał sposobność obcowania z tą poważną, szlachetną postacią, okrytą kirem żałobnej szaty, której to barwie śp. Jadwiga od upadku ostatniego powstania wierną pozostała, ten nigdy nie zdoła jej zapomnieć.

Wykłady jej z zakresu historyi sztuki, etyki, estetyki, pedagogii i psychologii, udzielane na kursach prywatnych lub wygłaszane publicznie, w pierwszorzędnych zakładach wychowawczych Lwowa, pozostaną po niej niezapomniane tym licznym zastępom wdzięcznych umysłów, które chłonęły ze słów śp. Sawczyńskiej zasoby światła, rozumu i myśli.

Zmarła była też autorką zarysu historyi najnowszych czasów, ogłoszonego pt: „Dzieje najnowsze“.

Cześć jej pamięci!

Pogrzeb szlachetnej matrony był dowodem najlepszym, jak kochano i szanowano zasłużoną patryotkę-nauczycielkę.



Nowe źródła nafty w okolicach Chyrowa: Góra w Prinzenthalu, przesiąknięta naftą, którą w tych dniach zacznie eksploatować nowo-zawiązane towarzystwo. (Fot. dla „Nowości Ill.“ M. Todt z Przemyśla).

Nowe źródła nafty.

Niedaleko Chyrowa w Galicyi, w miejscowościach Terła i Prinzenthal napotkano na nowe pokłady naftowe. Sprowadzony z Lipska inżynier górniczy zbadał teren i przekonał się, że istotnie praca w górach wyda obfitą ilość nafty. W tym celu zawiązało się przed dwoma tygodniami umyślnie towarzystwo, do którego niestety oprócz swojskich funduszów przyjęto do spółki również kapitały zagraniczne. Na walnem zgromadzeniu nowego towarzystwa 12 bm. w Chyrowie postanowiono zaraz z początkiem maja przystąpić do intenzywnej pracy w celu wydobywania nafty z nowo odkrytych pokładów.

* * *

Jedna z trzech naszych rycin przedstawia w kolonii Prinzenthal górę, w której głębi znajduje się nafta; wytryska ona u podnóża tej góry — jak to widać na drugiej fotografii; trzecia wreszcie rycina wyobraża chwilę, kiedy chłop miejscowy wskazuje co dopiero wykopany w Terle dół pełen nafty.

Zdjęć fotograficznych w Prinzenthalu i w Terle koło Chyrowa dokonał umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ fotograf z Przemyśla, Michał Todt.



Nowe źródła nafty w okolicach Chyrowa: U podnóża góry w Prinzenthalu wytryska nafta. (Fot. dla „Now. Ill.“ M. Todt z Przemyśla).



Nowe źródła nafty w okolicach Chyrowa: Na pół metra głęboko wykopany dół w Terle. pełny nafty. (Fot. dla „Now. Ill.“ M. Todt z Przemyśla).

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

4 (Ciąg dalszy.)

To przyszedł do córki hrabia Rożniewski.

Boże, co ten człowiek mówi, co ten straszny człowiek nie postanowił... I Jan słysząc to wszystko, nie może się poruszyć, nie może wstać, nie może się zbudzić... Ani jeden włos nie drgnie na jego głowie wobec tego wszystkiego, co jego uszy słyszą wyraźnie.

A hrabia Rożniewski mówi do córki tonem tak zimnym, jak gdyby nieszczęście to dotknęło nie dziecko jego rodzone, ale kogoś obcego, obojętnego... Jej łzy, jej żal nie wzruszają hrabiego ani na chwilę.

— Ale proszę cię, Wando, masz dowód najlepszy, iż nawet wola Boska jest po mojej stronie... Skoro ten, tam — i wskazał hrabia w stronę trumny na kanapie — już nie żyje, przeto nic nie staje na przeszkodzie, byś została żoną barona Goldenthala a tem samem ocaliła ojca i brata... No proszę cię, przysiąż mi w obliczu śmierci, że w ciągu trzech dni zostaniesz narzeczoną barona, a za trzy tygodnie poślubisz Goldenthala... Co do dziecka zaś...

— Ależ ojcze, jeżelibym już miała zdecydować się na podobną ofiarę dla ciebie i dla brata... to uszanuj przynajmniej moją miłość i wierność dla mego męża...

— Mąż twój, jak przywykłaś nazywać pana Anielskiego, dziś przecież nie żyje.

— Ale miłość, ojcze, trwa i poza grobem.

— Tak, a miłość dla ojca i brata nic cię nie obchodzi?... Powtarzam ci, Wando, że nam obu nie pozostaje nic innego, jak kulka w łeb, w takiem znaleźliśmy się położeniu, a hańby żaden z nas przeżyć nie zechce.

— Ojcze, mój ojcze, spełnię już czego żądasz.

— Przysiąż mi to, Wando.

— Na miłość dla mego nieboszczyka męża przysięgam ci, ojcze, że skoro tego koniecznie wymagasz ode mnie, zostanę żoną barona Goldenthala.

— Amen — zawołał ucieszonym głosem hrabia, całując córkę w czoło. — Uratowałaś życie ojcu i bratu. Dziękuję ci.

— Ale dziecko moje... zabierzesz, ojcze, do siebie wtedy, gdy ja jako oszustka z twej woli stanąwszy przed ołtarzem, zaprzeczę, jakobym była żoną i matką.

— Ah, cóż za brzydkiego wyrazu użyłaś, moja córko... Nie troszcz się o twoje dziecko. Znalazł się człowiek szlachetny, który znając w zupełności naszą tajemnicę, przyrzekł adoptować twego chłopca.

— A któż to jest taki, komubym miała rodzone dziecko oddać na własność?

— Ni mniej ni więcej, tylko książę Czerski.

— Co? O kim ty mówisz, ojcze?

— Powtarzam ci: Mirosław książę Czerski.

— Boże święty... ależ to w takim razie ten sam, do którego Jan był wzywany... Od niego wrócił tej nocy... Cóż ty, ojcze, masz z nim do czynienia? Co to ma znaczyć.

— Jakto, nie pojmujesz jeszcze... Twój... niech ci będzie... mąż twój miał ocalić dziecko córki księcia. Tymczasem umarło mu ono w rękach przy operacyi. Stąd jego rozpacz i śmierć gwałtowna, rozumiesz... Czerski zaś, uważasz, co za szlachetny z niego człowiek, w takiem zmartwieniu z powodu straty ukochanego wnuczęcia, nawet nie uraga temu tutaj — i znowu hrabia Rożniewski wskazał ręką na spoczywającego w trumnie Jana — temu, który powinien był dziecko uratować, a nie dać mu zginąć pod nożem... nie, książę pragnie tylko zastąpić co prędzej brak tej pociechy w domu małą istotką żyjącą... I pomyślno, Wando — tu hrabia zrobił giest szeroki, kończąc głosem o ile możności wzruszenie udającym, wołał: — co za cudowna mądrość i dobroć Wszechmocnego! Przyznaj, czy nie szczęśliwy zbieg okoliczności.

Wanda ukryła twarz w dłoniach, a hrabia deklamował dalej patetycznie:

— Twoje dziecko właśnie ma w pałacu Czerskiego zastąpić własne ich stracone szczęście. Książę godzi się adoptować twego chłopaka, przeciwko czemu ty, moja córko, rzecz naturalna, nic nie masz i mieć nie będziesz, spodziewam się. Zresztą Czerski dał na to słowo honoru w zamian za przysługę, jaką mu wyrządzamy, iż będzie milczał o całej historyi wobec barona Goldenthala, z którym znają się dobrze i nie powie mu o tem, że ty nie jesteś już panną.

— Boże, mój Boże — jęknęła młoda kobieta.

— Pojmujesz tedy, moja kochana, że gdyby teraz Czerski zdradził przed Goldenthalem tajemnicę twego niby małżeństwa i macierzyństwa twego... dyabliby wzięli twego ojca i twego brata, mówiąc krótko i węzłowato... A zatem zgoda? oddajesz swego chłopca księciu...

. . . .

Słyszy to wszystko Jan Anielski w swojej trumnie i ani nie drgnie.

A dusza jego przebywa katusze, na wiadomość o tem, że jego najukochańszego Tadzika ma własna matka oddać w szpony Czerskiego, śladem tamtego dziecka, które przed niewielu godzinami skonało w rękach Jana.

— Litości, Boże — krzyczy coś w duszy pozornie umarłego doktora — chcą mi dziecko zamordować! Mordercy!

A tymczasem Wanda nie przeczuwając nic złego, sama wypowiedziała wyrok śmierci na ukochanego synka.

Naglona przez ojca, zaraz na miejscu podpisała dokument, w którym jak najsolenniej zrzeka się wszelkiej pretensyi do własnego dziecka i zobowiązuje się nigdy pod żadnym warunkiem nie śledzić go, nie dowiadywać się o jego życie, nie badać miejsca jego pobytu, a nawet nie przedsiębrać prób zobaczenia go kiedykolwiek...

Za chwilę zjawia się w mieszkaniu Anielskich sam Mirosław Czerski.

Jan w trumnie słyszy demoniczny głos księcia, słyszy jak hrabia Rożniewski odczytuje mu na głos treść podpisanego przez Wandę aktu zrzeczenia się ich dziecka, słyszy ich poufną rozmowę.

A potem słyszy wyraźnie wzruszające słowa ostatniego pożegnania matki z dzieckiem i jej płacz rozpaczliwy w chwili, gdy książę odchodzi, zabierając ze sobą malca.

O tem wszystkiem, co się wokoło niego rozgrywało z tragicznym pośpiechem, wiedział nieszczęsny Jan dokładnie, a mimo to pozostawał nadal w jednakim stanie martwoty śmiertelnej.

— No, pożegnaj się z nim, Wando — odezwał się, wskazując na trumnę hrabia Rożniewski, naprzód tonem prośby, a gdy to nie skutkowało, powtórzył głosem rozkazującym, dodając: — Udamy się natychmiast do jakiegoś hotelu a potem nocą wyjeżdżamy na wieś... już do naszego zamku. Jutro ma ci się przedstawić twój narzeczony.

— Jezus Marya! ojcze, co ty mówisz. Jeszczem Janka mojego nie pochowała, a ty...

— Jego pogrzeb musi się odbyć już bez twego udziału. Czy ty tego nie rozumiesz... Twoja rola panny na wydaniu już się zaczyna... Nie zapominajże, o co tu rzecz idzie... No, a teraz chodźże już, proszę cię, moja kochana, nie mamy czasu do stracenia... Nie róbże historyi... Umarł, to trudno, taka była wola Boska, i nic na to nie poradzisz. A zresztą Bogu dzięki, że się tak stało...

Wanda odchodzi prawie od zmysłów.

Z dzikim krzykiem rzuca się na zimne ciało męża i pokrywa twarz ukochaną pocałunkami zmieszanymi z łzami.

— Zbudź się, Jaśku — woła, nie przeczuwając nawet, co za tragedya kryje się przypadkiem w jej słowach — obudź się, Janeczku — i całując go gorąco, używa wszelkich możliwych nazw pieszczotliwych, jakimi obsypywała go za życia, w chwilach najczulszych objawów miłości.

Wreszcie rozstaje się ze swym najdroższym przyjacielem, żegnając go na zawsze tkliwemi słowy, które stłumił wybuch rozpaczliwego płaczu.

Za chwilę hrabia wyprowadził córkę z domu.

Jan, który czuł jej łzy i pocałunki i pojmował szczerość jej słów miłości i boleści, usłyszał teraz, jak za oknami odjechała dorożka, która mu ją na zawsze odbierała.

Pozostał opuszczony — w trumnie żyw.

Żonę i dziecko mu zrabowano. Boże, jak okropny los czeka jego małego Tadzika: tej strasznej tajemnicy nie przeczuwa Wanda, nie zna jej nawet hrabia Rożniewski.

— Pozwól mi, Boże, obudzić się — modli się w nim dusza — żebym mógł biedz ratować swoje dziecko!

Ale nie drgnął w nim ani jeden członek, żaden włos się nie poruszył... A tu drzwi się otwierają i do pokoju wchodzą obcy ludzie czarno ubrani.

— Ocal mnie, Boże — jęczała dusza w ciele pozornie zmarłego człowieka w chwili, gdy się nad nim zamykało wieko trumny.

Słyszał wyraźnie chrzęst śrub, któremi żałobnicy przymocowywali wieko, poczem uczuł, że trumnę z nim poruszono i uniesiono z kanapy. Spokojnym, pewnym krokiem szli ci ludzie ciągnąc z sobą, wynosząc go na ulicę. Tu otoczeni gromadką gawiedzi, umieścili trumnę na noszach, dźwignęli je z ciężarem w górę i miarowym chodem po szerokim chodniku Alei Jerozolimskich ponieśli doktora Anielskiego w stronę Nowego Światu, zmierzając na Plac Trzech Krzyży, gdzie w dolnym kościele świętego Aleksandra oczekiwał na nowego nieboszczyka przygotowany czarny katafalk.

W drodze Jan, który dotychczas wszystko czuł i słyszał i bez trudności się oryentował w tem, co się działo dokoła niego — teraz nagle stracił świadomość zupełną.

Czyżby umarł naprawdę?

Czy też zbudzi się ponownie aż w grobie, żeby popaść w szaleństwo z rozpaczy za żoną i dzieckiem; zbudzi się na to, żeby z głodu gryźć własne ręce i zginąć wreszcie najstraszniejszą śmiercią — śmiercią człowieka żywcem pogrzebanego.

Ja cię ocalę!

Zostawmy naszych znajomych w Warszawie, a przenieśmy się na krótką chwilę, dla poczynienia nowych znajomości, do zadymionego miasta kominów fabrycznych — do pobliskiej Łodzi.

W elegancko umeblowanym pokoju zastajemy wytwornego i przystojnego człowieka, na którym obok dowodów bardzo jeszcze młodego wieku, znać już ślady pewnego wyniszczenia skutkiem wesołego używania życia.

To syn hrabiego Zygmunta Rożniewskiego, a brat doktorowej Wandy Anielskiej — młody hrabia Mieczysław.

Trzyma on, siedząc przed biurkiem, jakiś papier, nerwowo zaciskany w drżącej ręce.

— No, teraz po wszystkiem! — syknął młodzieniec przez zęby, pięścią w stół uderzając. — Goldenthal... ten łotr, szubrawiec... ach, ja to wszystko przeczuwałem...

W tej chwili podbiegła ku niemu, wyglądająca dotychczas oknem, młodziutka, prześliczna kobieta i stanąwszy przed nim, zajrzała mu badawczo w oczy.

— Mieczku — szepnęła cicho smutnym głosem — ty znowu grałeś....

Wtedy on zerwał się z krzesła gwałtownie.

— Tak, tak — zawołał prawie rozpaczliwym głosem, czoło sobie rękoma ściskając — grałem... i...

Zawahał się, a wtedy ona dokończyła za niego:

— I przegrałeś... straciłeś wszystko, co?

— Wszystko — powtórzył głucho.

Młoda kobieta załamała ręce i opuściła piękną główkę.

Hrabia przechadzał się przez chwilę szybkiemi kroki wzdłuż pokoju, wreszcie przystanął nagle przed nią i zawołał:

— Słuchaj, Halko... złamałem przyrzeczenie, jakie ci dałem onegdaj... A teraz przeczytaj... to od Goldenthala...

Podał jej papier, który sam czytał przed chwilą, a kiedy ona przebiegała szybko oczyma słowa pisma barona, oparł się Mieczysław o biurko, obejmując ją pełnem tkliwości spojrzeniem.

Była to niezwykle piękna kobieta, o kształtach wspaniale rozwiniętych, mimo dziewiętnastu lat wieku. Nazywała się Halka Modrzewska, ale znano ją pod innem imieniem i nazwiskiem, występowała bowiem na deskach scenicznych, jako początkująca, a niezwykle uzdolniona i jak najlepszymi warunkami obdarzona śpiewaczka — Tola Orlicówna.

Nie miała rodziców ni krewnych i była bardzo samotną na świecie, w czasie, gdy hrabia Mieczysław Rożniewski, poznawszy ją raz w teatrze Selina w Łodzi, zakochał się w niej na seryo.

Zbliżenie się obojga młodych ludzi wywołało wkrótce tak serdeczną miłość wzajemną, że do prowadziło nawet do sekretnych zaręczyn między bogatym hrabiczem a młodziutką aktoreczką.

Ale Halka Modrzewska stała się dla Mieczka nietylko kochanką, ile raczej najlepszą przyjaciółką młodego utracyusza, tak, że wpływ jej zbawienny na ukochanego mężczyznę mógł być tylko bardzo pożądanym — co właśnie zdarza się nadzwyczaj rzadko w tego rodzaju stosunkach. Jeżeli szło o jego dobro, jeżeli potrzeba było energii lub ofiary — ona była do tego jedyna; ona do największych dla niego zdolna poświęceń, nie zawahałaby się przed niczem, gdyby tego wymagało szczęście jej najdroższego Mieczka.

Teraz, skoro przeczytała podane jej pismo, błyszczały oczy dziewczęcia serdecznem wzburzeniem:

— Jak śmie ten Goldenthal pisać do ciebie w podobnym tonie...

Twarz młodzieńca przybierała teraz na przemian barwę to bladości, to rumieńców.

— On chce mnie tak upokorzyć... idzie mu o to, żebym musiał go prosić o odroczenie terminu... żebrać u niego pewnej zwłoki... a potem każe mi ten nędzny parweniusz odczuć swoją potęgę...

Tu hrabia ze złością stuknął pięścią w stół.

Dziewczyna westchnęła głęboko i boleśnie, a potem zapytała dyskretnie, jak gdyby wahając się z głośnem wypowiedzeniem myśli, która jej przyszła do głowy, jako jedyny możliwy ratunek:

— A nie mógłby ci tym razem przyjść twój ojciec z pomocą?

Młody Rożniewski zaśmiał się z przymusem, a twarz jego wśród tego sposępniała jeszcze bardziej.

— Mój ojciec — zawołał — mój ojciec, powiadasz... On przecież uczynił wszystko, co było w jego mocy... on się przecież dla mnie poświęcił poprostu... a dzisiaj, dziś Goldenthal trzyma jego w swych szponach, tak samo, jak mnie.

— Zapewne, Mieczku, ale...

— Ale co?...

— Ojciec twój jednak przyrzekł ci, o ile wiem.

Mieczysław Rożniewski zbladł śmiertelnie.

— Tak, masz słuszność — przyznał, a po chwili wahania mówił szybko:

— Ojciec chciał się odważyć na ostatni krok, żeby nas obu uwolnić i ocalić, ale cena tego ratunku byłaby zbyt wysoką... i powiadam ci, Halko, wolałbym zginąć marnie, aniżeli miałbym przystać na ratunek za taką cenę!

— Za taką ceną — powtórzyła Modrzewska — co masz na myśli... dokończ, wyznaj mi szczerze, o co idzie...

Wówczas zdawało się, że wyniosła postać dumnego młodzieńca złamała się nagle. Rumieniec wstydu rozlał się po jego śniadej twarzy i po wysokiem czole, sięgając aż po czarną czupryne. Długie rzęsy opadały na ogromne czarne oczy, jak gdyby wzrok jego pragnął uniknąć spotkania ze spojrzeniem dziewczyny.

Milczał przez chwilę, wreszcie, jak gdyby sam do siebie, zaczął mówić wzburzony:

— Aa, to wstyd pomyśleć nawet o tem... Miałbym się za szubrawca, nędzniejszego od Goldenthala, gdybym chciał to ścierpieć.

I umilkł, ale za chwilę podniósł wzrok nagle na okrągłą twarzyczkę swej przyjaciółki, blado odbijającą od ciemno kasztanowatych włosów bujnych, zajrzał prosto w jej oczy zielone i rzekł, prostując się:

— Chcesz, Halko, wiedzieć, o co tu idzie. Dobrze, powiem ci. Moja siostra Wanda ma poślubić barona Goldenthala, a wtedy ten... ten pan łaskawie podaruje nam nasze długi... Czy to nie szlachetnie z jego strony — dodał szydząc — a przecież byłoby niegrzecznie, gdybym nie przyjął takiego podarunku.

Halka przetarła ręką czoło.

— A jeżeli twoja siostra dobrowolnie wybrała na męża barona Goldenthala.

— Co, Wanda, dobrowolnie Goldenthala? Nie, nigdy, nigdy... Zmuszą ją do tego... o, ja znam ojca, a ona... boi się jego.

— Ale powiedz ty mnie w takim razie, co może skłaniać Goldenthala do tego, by zrzekać się pretensyi do sum tak ogromnych, jedynie dlatego, by się z Wandą ożenić — spytała Modrzewska w zamyśleniu.

— Albo ja wiem...

— Mój drogi, przecież z miłości tego on nie zrobi, więc o cóż mu idzie... Możnaby sądzić, że baron chciałby tym sposobem przez was wejść w powinowactwo z tak wysoką szlachtą, do jakiej wy z rodu należycie... Ale i w to nie wierzę. Wiem bowiem, w jaki sposób Goldenthal przy każdej okazyi zwykł się wyrażać o polskiej arystokracyi rodowej... Więc cóż ma za powód?

— Tego i ja nie wiem — przyznał Mieczysław posępnie. — Jedno wiem tylko, że tego człowieka nienawidzę i że nim pogardzam, że się brzydzę tym człowiekiem i coś mnie od niego odpycha... I jeszcze wiem jedno, że dopóki ja żyję, nie dopuszczę, by Wanda została żoną takiego szubrawca.

— To pięknie, mój Mieczku... Ale powiedz mi teraz co do drugiej sprawy... Cóż z tobą będzie? — i z trwogą zajrzała w czarne oczy młodzieńca — cto y poznieszy?

Hrabia wybuchnął ironicznym śmiechem.

— Ha, ha... moje rachunki już zamknięte.

Halka rzuciła mu się na piersi i rękoma owinęła do koła jego szyi.

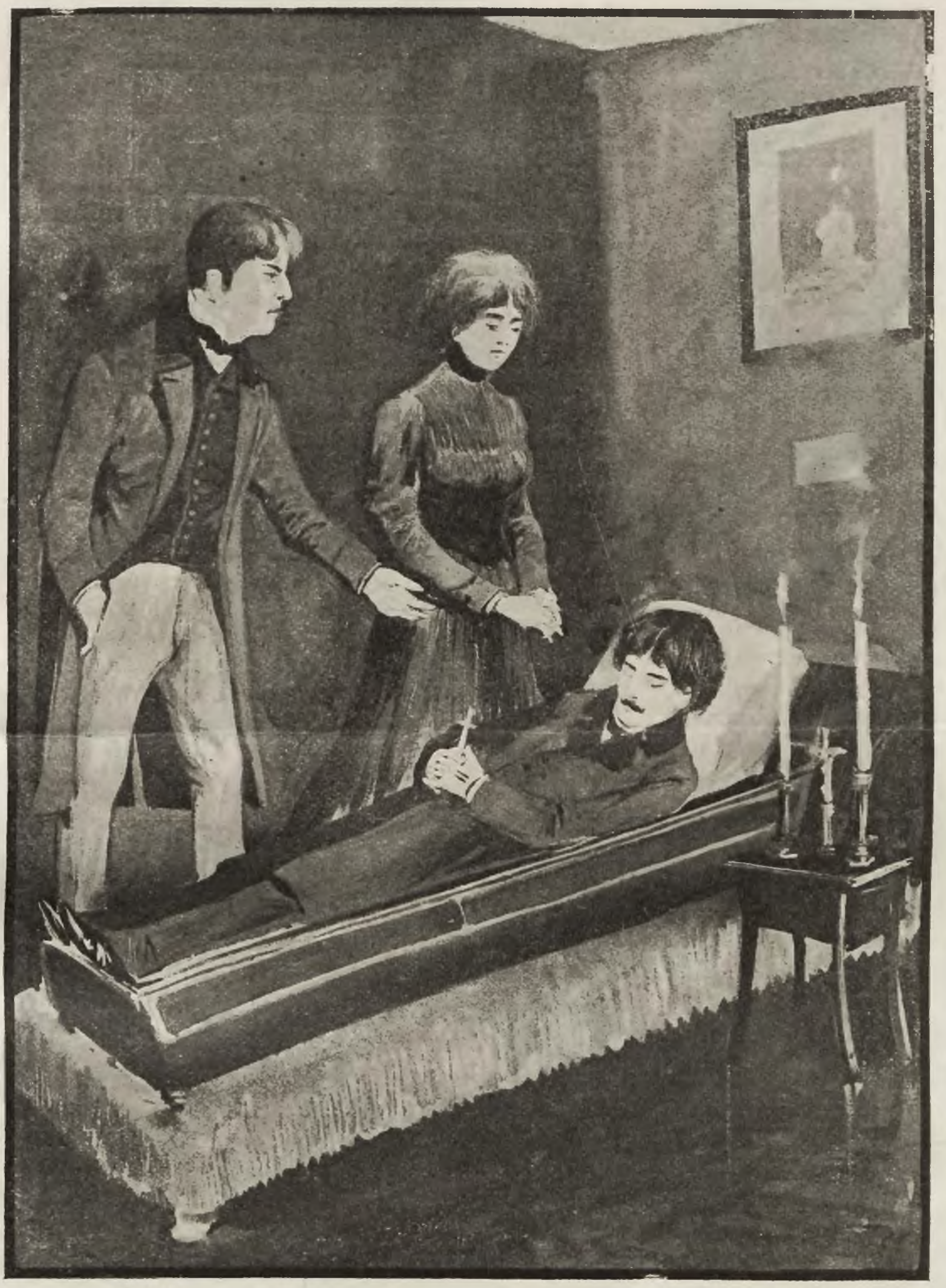
— Jezus Marya, Mieczku — jęknęła — coś ty powiedział, co mam przez to rozumieć — i wybuchnęła płaczem. — Mieczku, mój Mieczku, ja przeczuwam, coś ty postanowił... ja się domyślam... ty byś chciał... Boże! ty się chcesz zabić.

Rożniewski starał się uwolnić z wężowych zwojów, któremi się oplotła dziewczyna dokoła jego szyi. Wreszcie zaczął mówić głosem rozpaczliwym:

— I cóż mi innego pozostaje, moja Halko! Czy ze czci wyzuty, mam wieść nadal takie życie marne... Czy siostrę własną mam oddać na ofiarę, ja, który ponoszę główną winę w całem nieszczęściu... Wszak ja tu zawiniłem, a zatem ja sam odpokutować muszę.

— Pojmuję cię, mój biedaku — szeptało dziewczę, łkając i jeszcze serdeczniej tuląc się do niego — ale pomyśl, Mieczku, że ja... Słuchaj, jeżeli ty umrzesz, to musisz zabrać mnie ze sobą... widzisz, mój ty jedyny, cóż ja bym poczęła sama na tym świecie... ja bym już nie mogła dziś żyć bez ciebie...

Teraz on westchnął głęboko i boleśnie.



— Ależ proszę cię, Wando, masz dowód najlepszy, że nawet wola Boska jest po mojej stronie.... Skoro ten, tam — i wskazał hrabia w stronę trumny na kanapie — już nie żyje, przeto nic nie staje na przeszkodzie, byś została żoną barona Goldenthala, a tem samem ocaliła ojca i brata....

— Nie utrudniaj mi, dziewczyno, mojego postanowienia... moje ty kochanie, ja znam twą wierność, ja rozumiem twą miłość dla mnie, bom miał sposobność wypróbować ją dostatecznie... Ale widzisz, Halko, skoro ja umrę, zdejmę wielki ciężar, jaki mój ojciec dźwiga dziś na swych barkach niepotrzebnie... Mój stary kiedy się z pierwszej boleści otrząśnie... a ty wiesz, jak on mnie kocha... potrafi sam jakoś łatwiej uwolnić się z sideł Goldenthala. Ty zaś moja najdroższa przestaniesz być związana z człowiekiem niegodnym...

Wówczas przerwała mu Halka, zamknąwszy usta kochankowi gorącemi pocałunkami.

— Jakto, więc sądzisz, Mieczku, że skoro przeżyłam z tobą jasne dni szczęścia i radość z tobą dzieliłam, to miałabym cię opuścić w chwili zwątpienia, zostawić cię osamotnionego na posępne godziny niedoli?... Wszak tyś mi ofiarował szczerą miłość młodzieńczą, tyś mi zaufał... mimo, że twój dumny ojciec nie miał nic wiedzieć o naszym stosunku... Wszakżeś to ty łożył na moje dalsze wykształcenie. Czyliż nie tobie zawdzięczam, mój drogi, wszystko, czem dziś jestem i jaką jestem. Mieczku, tyś był moim jedynym opiekunem, moim najlepszym przyjacielem... Ja się z tobą rozstać nie mogę, złoto ty moje!

Rożniewski milczał długo, ale teraz pod wpływem jej słów uczuł, że mu się serce dziwnie ścisnęło: boleść kochającego go szczerze dziewczęcia wzruszyła go do głębi.

— Nie rozdzieraj mi serca, Halko — krzyknął naraz, poczem pochylił się do rąk Modrzewskiej i cisnąc je sobie do ust gwałtownie, całował, całował długo, namiętnie.

— Halko, Halko moja — powtarzał głosem pełnym tkliwości — toś ty, kochanie, była zawsze moją dzielną, mądrą przyjaciółką... Wiele ja tobie właśnie zawdzięczam... I tybyś mnie, dziewczyno, chciała powstrzymać w mojem postanowieniu?... Zmiłujże się, więc chcesz, bym żył nadal bezecnie, nikczemnie, raz honor podeptawszy sromotnie.

— Nie — zawołała Modrzewska — ja chcę, żebyś ty żył, mój najdroższy, a nie chcę, żebyś umierał marnie a niepotrzebnie... tak młodo...

Różowemi rączkami objęła jego bujną czuprynę czarną i wycisnęła na jego czole przeciągły pocałunek przyjaźni

— Biedny Mieć, biedniuśki, biedniusienieńki.

A potem jak anioł pocieszyciel, dodała poważnie, głaszcząc go swą aksamitną dłonią po śniadych policzkach:

— Uspokój się, mój chłopcze... Bóg nas nie opuści... pomoże nam... zobaczysz, Mieczku...

Gdy zaś Rożniewski odwrócił się szybko i odszedł ku oknu, jak gdyby pragnął ukryć przed nią swoje czarne oczy, w których zaszkliło się w tej chwili coś na kształt łez mimowolnych — ona poszła za nim i rękę kładąc mu na ramię, mówiła sama już spokojna, głosem spokój w jego duszę wlewającym:

— Ty nie możesz umrzeć... ty musisz żyć... żyć dla mnie i dla naszego szczęścia!... Pozwól mi tylko działać, proszę cię o to, Mieciu, a ja ci przysięgam, że Goldenthal zgodzi się i udzieli ci zwłoki.

— Co? Goldenthal... mnie?!

Poczem zaśmiał się ironicznie.

— Zobaczysz, Mieczku, że on to zrobi... zobaczysz sam — powiedziała tonem stanowczym i pewnym siebie.

— A zatem prosiła byś za mną — zawołał w podnieceniu — jego byś prosiła dla mnie... Na to nigdy się zgodzę, nie pozwoliłbym na to nigdy!

Lecz ona wzniosła główkę dumnie w górę i marszcząc czoło, odparła:

— Jabym Goldenthala nie prosiła... i prosić go nie będę... ale ja go chcę zmusić.

Młody hrabia spojrzał na nią zdumiony.

— Ależ, Halko, cóż ty zamierzasz przeciw niemu... ty chyba nie znasz Goldenthala...

Poczem machnął ręką w powietrzu ruchem pełnym zwątpienia i głowę opuścił na piersi.

Milczenie obopólne trwało krótko, bo naraz Rożniewski jak gdyby powziął jakieś nagłe a nowe postanowienie, zawołał:

— A zresztą... dobrze... spróbuj.

I przeszedł się kilka razy po pokoju, aż wreszcie zatrzymał się przed oknem i oparł rozpalone czoło o chłodną szybę.

Znowu Halka poszła tam za nim i oparłszy swą główkę o jego ramię, odezwała się głosem, pełnym dziwnej słodyczy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Balonem przez morze.

Pomimo wytężonej pracy, jaką duch ludzki w ostatnich czasach rozwinął na polu udoskonalenia balonów, a przynajmniej skonstruowania przyrządu, któryby pozwalał balonem kierować podczas lotu. nie udało się jeszcze doprowadzić do zadawalających rezultatów w tym względzie. Aeronauta, wzbiwszy się dzisiaj balonem w przestworze, zdany jest w zupełności na łaskę wiatru, który balonem rzuca jak piłką i gna go wedle swej woli.



Balonem przez morze: Görgen i Plep, żołnierze berlińskiego oddziału aeronautycznego, którzy balonem „Ibis“ przebyli w 13 godzinach drogę powietrzną z Berlina do Szwecyi ponad morzem Bałtyckiem.

W ubiegłym tygodniu doniosły dzienniki o ciekawej, chociaż może nawet bardziej tragicznej, aniżeli ciekawej przygodzie dwóch aeronautów. Rzecz się miała jak następuje:

Dwaj żołnierze berlińskiego oddziału aeronautycznego Görgen i Plep, których fotografię obok zamieszczamy, otrzymali rozkaz, aby podjęli dla wprawy wycieczkę balonem „Ibis“. Wzlot nastąpił w sobotę w południe. Balon wzniósł się na znaczną wysokość, poszybował ponad chmury, pędząc ciągle w kierunku północnym. Około godziny piątej żołnierze chcieli wylądować, ale gdy spuścili się na dół przez warstwę chmur, spostrzegli z przerażeniem, że pod nimi znajduje się morze. Nadspodziewanie zostali zapędzeni nad morze Bałtyckie. Balon spadał coraz bardziej, do uszu napowietrznych żeglarzy dochodził już szum fal Bałtyku. Wyrzucili więc cały balast, balon mimoto nie przestał opadać i groził lada chwila wpadnięciem do wody. Zaczęli więc wyrzucać wszystkie zbędne przedmioty, a kiedy spostrzegli, że zaledwie kilka metrów oddziela ich od powierzchni morza, zdjęli buty mimo dokuczliwego zimna i uchwyciwszy się sznurów, oczekiwali z biciem serca chwili, kiedy znajdą śmierć w zimnych nurtach Bałtyku. Ciemność już zapadła, a balon zniżył się tak, że łódka jego ślizgała się po zwierciadle wody. Wtedy aeronauci odcięli linę, mającą znaczny ciężar, a gdy i to nie pomogło, odcięli łódkę, a sami ulokowali się zewnątrz balonu na pierścieniu, do którego łódź była przymocowaną. Balon, pozbywszy się tylu ciężarów, wzbił się odrazu w górę, ale po chwili zaczął znowu opadać. Nieszczęśliwi żeglarze, którym już śmierć zaglądała w oczy, wrzucali do morza, co było pod ręką, przyrządy, bagnety z pasami, a nawet odzież. Balon zaś posuwał się wprawdzie z szaloną szybkością, ale stale opadał. Już byli pewni, że ostatnia dla nich wkrótce wybije godzina, kiedy nagle usłyszeli szczekanie psa. Byli nad lądem. Otworzyli więc wentyl, balon spadl i osiadł na drzewach. Była godzina pierwsza w nocy, a ląd, na który wiatr zagnał ich balon, był Szwecyą. Gdy świt nadszedł, puścili się obydwaj boso po śniegu, szukając mieszkań ludzkich. Po dwóch godzinach znaleźli nareszcie dom, gdzie ich gościnnie przyjęto. Nareszcie z pobliskiej stacyi kolejowej w Aluaryd udali się obaj z powrotem do ojczyzny. Drogę z Berlina do Szwecyi przebyli w 13 godz.

Więzień – inicyator biblioteki dla więźniów.

Prawdziwie inteligentne, uspołecznione umysły nie umieją nigdy i nigdzie spocząć — nawet w więzieniu.

Takim jest lekarz warszawski Dr. Zygmunt Bychowski, który wróciwszy z Dalekiego Wschodu, dokąd powołany był w charakterze lekarza wojskowego na czas wojny, naraził się jako członek Stowarzyszenia Syonistów na podejrzenie władz, skutkiem czego został w jesieni aresztowany w mieszkaniu swem przy ul. Grzybowskiej i osadzony na dłuższy czas w więzieniu przy ratuszu.

Tu wśród delegliwości położenia a szczególniej wobec formalnego głodu na wszelką lekturę, przyszła mu myśl zapoczątkowania tak pożytecznego dzieła, jak założenie biblioteki dla więźniów, skoro tylko wyjdzie na wolność i jeśli władze na to się zgodzą.



Więzień-inicyator biblioteki dla więźniów: Dr. Z. Bychowski w Warszawie w tych dniach uwolniony.

Z myślą tą zwierzył się Dr. Bychowski swym towarzyszom niedoli w tejże samej celi więziennej pod Nr. 8-ym osadzonym.

Byli to pp. Mieczysław Kwaskowski, Franciszek Mielnicki, Stefan Weychert, Witold Chluski i Józef Herdin. Wszyscy przyklasnęli pięknej myśli i już tam w więzieniu zawiązali się w komitet



Balonem przez morze: Tragiczna podróż dwóch żołnierzy niemieckiego oddziału aeronautycznego, balonem „Ibis“ z Berlina do Szwecyi przez morze Bałtyckie.

z zamiarem przybrania do niego później kilku znanych z dobrej woli osób z miasta. Jeszcze nie wszyscy z uwięzionych zostali wypuszczeni na wolność, lecz i tych kilku szczęśliwszych ma nadzieję doprowadzenia przedsięwzięcia do skutku wobec tego, iż zapytywane w tej sprawie władze uznały w zasadzie projekt za wykonalny.

Reszta zależy od inicyatorów z Drem Bychowskim na czele, któremu przypadnie w udziele zasługa pięknej i pożytecznej myśli. Poprze ją niezawodnie ogół cały. *B-t.*

Pisarz gminny defraudantem.

Dnia 10 marca br. popełniono w kasie gminnej w Białym Potoku znaczną kradzież. Skradziono bowiem przeszło 1000 koron w złocie i banknotach. Największe podejrzenia o popełnienie tej kradzieży padły na pisarza gminy Biały Potok,



Pisarz gminny defraudantem: Karol Ornatowski, schwytany w Bremie w chwili, gdy miał wsiąść na okręt, a podejrzany o kradzież 1000 koron w kasie gminy Biały Potok, wydany w tych dniach przez władze pruskie ekspozyturze policyi w Oświęcimiu.

niejakiego Karola Ornatowskiego, podejrzenia tem silniejsze, że Ornatowski po kradzieży natychmiast Biały Potok opuścił i znikł, niewiadomo w jakim kierunku.

Ornatowski, rodem z Wygnanki koło Czortkowa, liczy dopiero lat 25. Wzrostu średniego, o twarzy śniadej, z niebieskiemi, marzącemi oczyma, robi wrażenie bardzo dobre, jak to widać zresztą na załączonej obok fotografii. Włada doskonale językiem polskim i ruskim, a w części i niemieckim.

Energiczne śledztwo, przedsięwzięte zaraz po odkryciu kradzieży, wykazało, że Ornatowski już od dawna przygotowywał się do ucieczki z kraju. Wystarał się bowiem już przedtem o paszport, wystawiony na nazwisko Józefa Aleksiewicza i wyjechał z Czortkowa dnia 12 marca, a więc na drugi dzień po kradzieży w Białym Potoku. Ponieważ paszport ów wystawiony był do Ameryki, przypuszczano więc, że Ornatowski udał się wprost do jednego z portów, gdzie miał zamiar wsiąść na okręt i przepłynąwszy ocean, szukać szczęścia w Nowym Świecie. Rozesłano za nim listy gończe i polecono go natychmiast aresztować.



Naczelnik więzienia ratuszowego w Warszawie: Kurakin, którego zeznania będą bardzo doniosłe w sprawie śledztwa przeciwko Wiktorowi Grünowi.

Ujechał jednak szczęśliwie kawał drogi, bo aż do Bremy, i tam dopiero powinęła mu się noga. W chwili, kiedy już był przekonany, że mu nic nie grozi, kiedy widział już okręt, który go miał przewieść do Ameryki, aresztowała go policya, a po stwierdzeniu identyczności odstawiła go do Oświęcimia, gdzie go wydano władzom austryackim, mianowicie komisarzowi policyi p. Stanisławowi Krzyżanowskiemu. Z Oświęcimia zostanie Ornatowski odesłany do sądu w Czortkowie, gdzie się odbędzie rozprawa sądowa.

Także ptaszek!

Już nie pomnę jego imienia; wystarczy zapamiętać twarz samą i postać, ale pozbawioną sukni duchownej kleryka seminaryum rzymsko katolickiego, z którego został wykluczony swego czasu wyrokiem władzy kościelnej w Warszawie.

Jakie dalsze przebywał koleje, których synonimem nazwisko jego „Nawrot“, trudno wiedzieć. Tyle pewne, że po stopniach zepsucia i demoralizacyi staczać się musiał bez ratunku na dno upadku, skoro... skoro w pamiętnym dniu pochodów narodowych tj. 5 listopada przyłapano go na piekielnie gorącym uczynku zdrady: naprowadzenia jednej z procesyj narodowych na wojsko i policyę, zebrane w Alejach Jerozolimskich, gdzie przyszło do rozlewu krwi,

Jakżeż to bezbrzeżnie bolesne!



Także ptaszek: Były kleryk rzym.-kat. seminaryum w Warszawie, Nawrot, który w listopadzie naprowadził umyślnie jedną z procesyj narodowych na ukryte wojsko i spowodował krwawe starcie.

Przykładem władz kościelnych radzibyśmy i na tej fotografii pozbawić go szat duchownych. Niestety, taka tylko podobizna jego zachowała się.

Niezawodnie nie chciał się uwieczniać w ubraniu cywilnem, w którem znajdował się wówczas w Alejach, przy sprowokowanem przez siebie po szatańsku krwawem starciu.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“; fot. A. Kaszubski we Włocławku.

Wioślarze warszawscy we Włocławku: „Duda“ śpiewacza warszaw. Towarzystwa wioślarskiego przybyła na koncert dobroczynny do Włocławka.

Naczelnik więzienia ratuszowego w Warszawie.

Śledztwo zarządzone przez naczelne władze w Petersburgu w sprawie naczelnika warszawskiego wydziału policyi śledczej w ratuszu, Grüna, oprze się niezawodnie na zeznaniach bliżej z tym wydziałem zestosunkowanych urzędników. Uprzedzając zatem tok śledztwa, zamieszczamy dziś podobiznę naczelnika więzienia przy ratuszu warszawskim Kurakina.

Nie jest to czynownik ściśle miejscowy, warszawski, gdyż przybył od kilku lat zaledwie z Petersburga, skąd go powołał dawniejszy operpolicmajster Nolken. Jak dochodzą wieści z za kraty



Dzielni obrońcy pod sądem: Adwokat przysięgły w Warszawie, Józef Szyff, stający teraz przed sądem za śmiały artykuł w „Kuryerze Porannym“.

więziennej, czynownik to ściśle trzymający się litery prawa, ale też nie wykraczający po za nią w imię prześladowania, srogości względem więźniów lub specyalnej nienawiści dla Polaków.

Dobre i tyle! *B-t.*

Z za kraty więziennej w Warszawie.

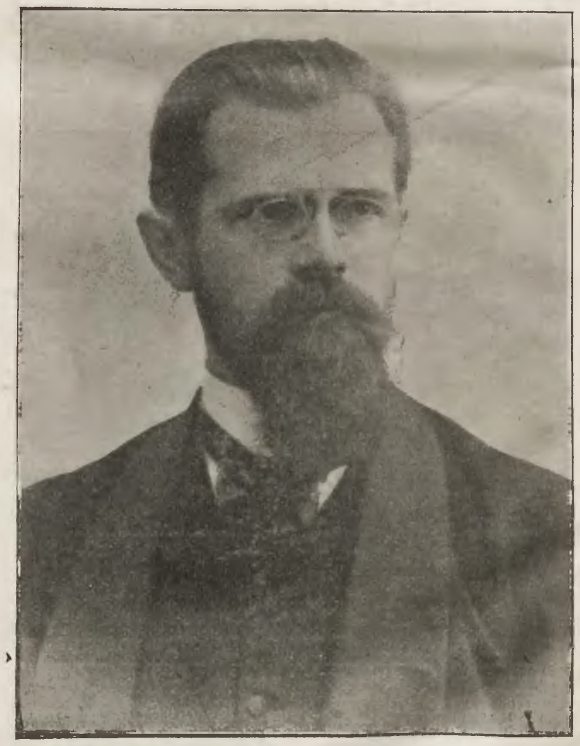
Były konsul francuski w więzieniu ratuszowem warszawskiem!

Tak sensacyjną apostrofą możnaby zacząć sylwetkę jednego z wielu więźniów, osadzonych od kilku miesięcy w więzieniu przy ratuszu warszawskim—i niebyłoby w tem ani przesady, ani kłamstwa. Portret bowiem, jaki tu zamieszczamy, przedstawia w pełnym mudurze konsula rzeczypospolitej francuskiej, kiedy nim swego czasu był w Fieodozyi (pod Tyflisem) dzisiejszy więzień w ratuszu warszawskim p. Karol Hankiewicz.



Z za kraty więziennej: Były konsul franc. w Fieodozyi, oficer Akademii paryskiej, Karol Hankiewicz, nauczyciel gimnazyum Chrzanowskiego i szkoły Rontalera w Warszawie, więziony od jesieni w ratuszu, z powodu znalezienia w jego domu kastetu i rewolweru — w czasie rewizyi przeprowadzanej u kogo innego w sąsiedztwie.

Człowiek to nauki, zdobył niegdyś odznaczenie oficera akademii francuskiej, a dziś zajmuje stanowisko nauczyciela języków nowożytnych przy gimnazyum jen. Chrzanowskiego i szkole średniej Rontalera. Ma za sobą również lata nieposzlakowanej służby oficerskiej w marynarce rosyjskiej. Osiadłszy od lat w Warszawie, znany tu powszechnie i zaszczytnie, oddawał się pracy swego powołania, aż naraz w jesieni poddano i jego mieszkanie rewizyi, zarządzonej pierwotnie u jego lo-



Dzielni obrońcy pod sądem: Adwokat przysięgły w Warszawie Tadeusz Strzembosz, stający teraz przed sądem za śmiały artykuł w „Kuryerze Porannym“.

katora tylko, gdzie istotnie znaleziono mały zbiór broni. U profesora Hankiewicza znaleźli się jeden bokser, rewolwer i jakiś stary karabin. Wystarczyło to do podania go w podejrzenie, aresztowania i osadzenia na czas dłuższy w więzieniu przy ratuszu warszawskim. *B-t.*



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Ill.“; fot. A. Kaszubski we Włocławku.

Kółko amatorskie we Włocławku: Uczestnicy amatorskiego przedstawienia niegrywanej dotąd ze względów cenzuralnych w Król. Polskiem sztuki Synoradzkiego „Dożynki“, a wystawionej obecnie z powodzeniem przez kółko amatorów we Włocławku.

Kółko amatorskie we Włocławku.

W życiu prowincyonalnem Królestwa Polskiego dużą dźwignię intelektualną stanowią kółka



Wracają do Lwowa: Artysta warszawski teatru „Rozmaitości“, Seweryn Nowicki, o którym krążą uporczywe wieści za kulisami, że da się zaangażować dyr. Hellerowi na scenę lwowską.
(Do artykułu na stronie 14).

amatorskie teatralne; urządzanemi często przedstawieniami wspierają one cele dobroczynne, a zarazem szerzą znajomość literatury polskiej dramatycznej i zamiłowanie ojczystego języka i dbanie o jego czystość.

Korzystając też ze swobodniejszej obecnie cenzury, dobywają z pyłu bibliotecznego utwory, nieznane dotychczas, a wartościowe, by zapoznać z niemi publiczność.

Na jednem z ostatnich tego rodzaju przedstawień odegrali amatorowie we Włocławku pierwszy raz „Dożynki“ Synoradzkiego, a pamięć tego przedstawienia uwieczni tu załączona illustracya wszystkich amatorów, udział w niem biorących, wykonana podług specyalnego zdjęcia fotografa p. Kaszubskiego dla „Nowości Illustrowanych“.

Jak widzimy, nie brak tam było ochotników wśród pań, panów i dzieci.

Grupa to zaiste niezwykle malownicza, dzięki prześlicznym kostyumom, godna widzenia. Zwłaszcza stroje pań i panienek wyglądały na scenie uroczo, podobnie jak dziatwa w charakterystycznych kostyumach ludu wiejskiego. *B-t.*

Z pomocą biednej młodzieży.

Załączona tu illustracya przedstawia jedną z charakterystycznych scen rzadko gdzie i kiedy grywanej komedyi hr. Fredry pt. „Lita et Compagnie“. Odegrało ją w przedstawieniu składanem jedno z licznych teraz kółek amatorskich w Warszawie na wpisy dla niezamożnych uczniów szkoły Jeżewskiego, przykładem idąc tylu innych, którzy w ten sposób śpieszą z pomocą uczącej się młodzieży.

Wśród tego kółka amatorów odznaczyła się szczególniej młoda amatorka debiutantka panna Leszko, uwidoczniona na illustracyi.

Z kółek takich rekrutują się czasami przyszłe artystki naszych teatrów.

Może panna Leszko pójdzie ich śladem? *B-t.*

Wioślarze warszawscy we Włocławku.

Polskie Towarzystwa wioślarskie łączy hen, aż od Krakowa po Gdańsk jedna wstęga Wisły, jedna nuta pieśni rodzimej, swojskiej.

Węzły te bratnie wzmacniają od czasu do czasu odwiedziny wzajemne, w czem najruchliwsze warszawskie Towarzystwo wioślarskie nie daje się wyprzedzić nikomu, ale udziałem swoim w przygodnych przedsięwzięciach Towarzystw prowincyonalnych dopomaga w szlachetnych celach dobroczynnych.

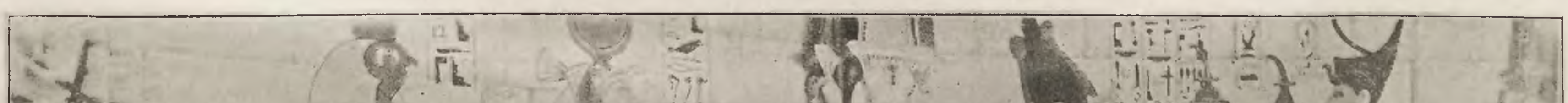
Tak też niedawne „Duda“, kółko śpiewacze warszawskiego Towarzystwa wioślarskiego, wyprawiło się do Włocławka i udziałem swym w tamtejszym koncercie dobroczynnym, zyskało mu duże powodzenie.

Odwiedziny takie przyczyniają się do wyro-



Wracają do Lwowa: Artystka warszawskiego teatru „Nowości“, Józefa Bielska (Gwiszczówna). Lwowianka, zaangażowana z powrotem do operetki lwowskiej przez dyrektora Hellera.
(Do artykułu na stronie 14).

bienia łączności i serdecznej spójni w szeregach wioślarzy polskich, co stwierdza załączona tu illustracya „Dudy śpiewaczej“ w gościnie, wykonana specyalnie na miejscu dla „Nowości illustrowanych“ przez fotografa p. Kaszubskiego. *B-t.*



Fot. dla „Nowości Ill.“ Cz. Kulewski w Warszawie.

Z pomocą biednej młodzieży: „Lita et Compagnie“, komedya Al. Fredry, grana w teatrze Elizeum w Warszawie przez kółko amatorów pod reżyseryą Miecz. Lubelskiego na wpisy dla niezamożnych uczniów szkoły Jeżewskiego.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

5 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

— Bogu dzięki — rzekła i odeszła do drugiego pokoju, gdzie syn jej krzątał się koło zmarzłej.

— Zdaje mi się, mamo — zaczął mówić — że tu ludzka wiedza już się kończy, bo...

Urwał nagle i palec położył na ustach, nakazując milczenie.

Pani Wilding się poruszyła. Otworzyła oczy i spojrzała zupełnie, jak się zdawało przytomnie, na lekarza i jego matkę, podniosła się i z przechyloną w tył głową, z oczyma utkwionemi w suficie usiadła bez ruchu na łóżku.

Pani Stürmer chciała coś do niej powiedzieć, ale syn chwycił ją za rękę, dając znać, aby milczała, poczem sam podszedł do chorej i chciał ją ułożyć na łóżku, mówiąc szeptem: „Niech się pani uspokoi, moja pani, już pani jest ocalona!“

Jednak chora, nie patrząc na niego, strząsnęła z siebie jego ręce, ale w tej chwili opadła na poduszki, zrobiwszy ręką dziwny ruch, jakby kogoś czy coś objąć chciała.

W tej chwili weszła do pokoju służąca i stanęła przestraszona na progu.

— Chodź bliżej, Maryś — rzekł cicho lekarz — chodzi tu o biedną chorą. Byłaś już raz siostrą miłosierdzia, może mi więc i teraz pomożesz.

Ale za nim Marya ku nim się zbliżyła, pani Wilding zaczęła ciężkim. zmienionym, jakby stłumionym głosem mówić. Twarz jej pokryła się trupią bladością, oczy wgrążały się w dal, a usta poruszały się zaledwie, kiedy szeptała:

— Idźcie odemnie precz, duchy, które mnie dręczycie, odsuńcie się. bo nic nie mogę widzieć. Okrutne, ustąpcie! Widzę już, jak mgły się rozchodzą, a z nich wynurzają się zwolna postacie przyszłości.

Lekarz, służąca i pani Stürmer z zapartym oddechem słuchali jej słów, aż wreszcie doktor Stürmer ozwał się cicho:

— Zdaje się, że znajduje się w stanie jasnowidzenia. Co za błysk w oczach! — nie ulega wątpliwości — to jasnowidząca, somnambuliczka.

— Czego wy chcecie odemnie, duchy? — szepnęła znowu lunatyczka, ruszając rękoma, jakby się odpędzała od czegoś.

— Co tam widzisz? — zapytał doktor, utkwiwszy silny wzrok w jej oczach.

Twarz jej ściągła się od wewnętrznego bólu i upłynęło chwil kilka, zanim odpowiedziała.

— Zasłony z mgieł, chmury mgieł — szeptała — a z tych mgieł wynurzają się postacie — o, teraz wyjaśnia się...

Urwała, pochyliła się naprzód, jakby chciała lepiej widzieć i ciągnęła dalej:

— Pokój, biały jak śnieg — kobieta, piękna jak bogini — ale ta kobieta jest demonem; słuchajcie, ona mówi, mówi do mężczyzny...

Urwała znowu, jakby chciała lepiej słyszeć.

— Nie możesz zrozumieć, co ona mówi do tego mężczyzny? — zapytał lekarz.

— Nie, nic nie rozumiem. Ona szepce tylko.

— Musisz ją zrozumieć! — rozkazał lekarz — słuchaj lepiej!

Głos jego, zazwyczaj czuły i łagodny, brzmiał surowo i groźnie.

Upłynęło znów chwil kilka, wtem po twarzy jasnowidzącej przebiegł dziwny dreszcz.

— Nie mogę nic zrozumieć — mówiła — ten szkaradny mężczyzna teraz od niej odchodzi, schodzi po schodach, wyszedł na ulicę, skręcił w aleję Lipową, już jest na ulicy Ogrodowej...

— Czego on tam szuka?

— Przelazł właśnie przez mur.

— Dalej! — rozkazał lekarz.

— Schylony czołga się przez park, przez okno w suterynach wszedł do pałacu. Zdejmuje buty i cicho biegnie po schodach na górę, przechodzi przez szereg pokojów, teraz stanął, stanął na pro gu sypialnej komnaty. Podchodzi chyłkiem jak wąż, odsłania niebieskie jedwabne firanki nad łóżkiem — t m śpi młoda kobieta — o, ja ją już widziałam, to żona hrabiego Pardua!

Krew znikła z twarzy doktora. Przerażonym wzrokiem patrzył na somnambuliczkę.

— Dalej, dalej! — naglił ją.

— Stoi przy łóżku. Teraz wyjął z kieszeni czarną chustkę — teraz — podnosi rękę — młoda hrabina śpi, nie przeczuwając niczego — ręka jego już na szyi śpiącej... Krzyknęła, obudziła się — a teraz okrutnik bierze czarną chustkę i — knebluje — —

Doktor cofnął się, przerażone oczy skierował na usta jasnowidzącej.

— Dalej! Dalej! — jęknął, a śmiertelny pot zrosił mu czoło.

— Knebluje jej usta — teraz ją dusi — wielki Boże! Morderca!...

Jasnowidząca, wyczerpana zupełnie, opadła na łóżko, oczy jej się zamknęły; słuchacze jej stali teraz jeszcze jak oszołomieni, aż nareszcie ozwał się doktor Stürmer zmienionym do niepoznania głosem:

— Tu się przygotowuje morderstwo! Daj Boże, abym jeno nie przyszedł za późno!

I zanim obie kobiety miały czas go powstrzymać, wybiegł z pokoju. Jak później dostał się do pałacu Solmsów, tego sam potem nie wiedział. Jak szalony pocisnął za guzik dzwonka elektrycznego i, drżąc ze wzruszenia, czekał, aż mu bramę otworzą. Nareszcie zjawił się portyer.

— Proszę mnie natychmiast wpuścić — zawołał do niego, a widząc, że sługus patrzy się nań jak na waryata, dodał, chcąc umotywować swój pośpiech: Jestem doktor Stürmer, proszę mnie zaprowadzić do jaśnie pani.

— Musiała zajść pomyłka, panie konsyliarzu; jaśnie pani jest zupełnie zdrowa i nie posyłano po pana.

Ale doktor upierał się przytem, aby go zaprowadzono na górę. W pałacu panowała głucha cisza i ponury spokój, tak, że doktor zaczął już żałować swego postępku.

— Pan hrabia jeszcze nie powrócił; nie wiem, czy dobrze zrobię, jeśli pana teraz zamelduję. Jednak, może pan chwileczkę zaczeka — muszę przynajmniej zbudzić pokojówkę.

Pokojówka wpatrzyła się zaspanemi oczyma w twarz doktora, pewna, że Stürmer nagle zwaryował.

— Jaśnie pani jest zdrowa — rzekła.

— Zobaczże przynajmniej raz jeszcze, Hanusiu, czy zdrowa; muszę mieć pewność — odparł, a duże krople potu spływały mu z czoła.

Z obawą spełniła Hanusia polecenie, bo przypomniała sobie, że waryatom nigdy nie należy się sprzeciwiać. Lekarz poszedł za nią ze ściśniętem sercem. I on teraz uważał się w duszy za obłąkanego, bo przecież, gdyby się coś było stało, to pokojówka musiałaby coś o tem wiedzieć. Drżąc ze wzruszenia patrzył, jak Hania otworzyła drzwi do sypialni; chciał wejść za nią, ale dziewczyna nagle krzyknęła i cofnęła się z pokoju.

Stürmer, straciwszy już panowanie nad sobą, usunął ją na bok i wszedł. To, co ujrzał przed sobą, ścięło mu krew w żyłach. Z piersi jego nie wydarło się nawet najmniejsze westchnienie, ale widać było, że stracił wszystką siłę. Zachwiał się i zaczął ręką szukać oparcia.

Firanki łóżka były rozsunięte, ale na łóżku nie było nikogo. Posłanie było jednak w największym nieporządku, jakby na niem przed chwilą stoczono walkę. Wtedy Stürmer krzyknął — w oczach zapłonęły mu dzikie ognie obłąkania.

— Miłosierny Boże! — jęknął — cóż to leży na ziemi pod tą kupą bielizny?

Zdawało mu się, że zmysły mącić mu się poczynają. Cóż się stało z kobietą, którą on ciągle tak serdecznie kochał? Komu zależało na tem najbardziej, aby młodą hrabinę sprzątnąć ze świata?

Podbiegł ku kupie bielizny.

Wielki Boże! Z pośród niej sterczała biała, drobna ręka kobieca!

ROZDZIAŁ IX.

Kto jest mordercą?

Detektyw Stein po niefortunnej przygodzie z hrabią Pardua zaczął się naradzać z bezimiennym. Siedzieli obydwaj na drugi dzień razem, a z min ich można było wyczytać, że nie są zadowoleni.

— Nie udało nam się wczoraj — rzekł Stein kwaśno. — Postawiłem wszystko na jedną kartę, przekonany, że go tem odrazu zbiję z tropu. No, ale jeszcze nie wszystko stracone! Nie mogę uwierzyć, aby moje kombinacye miały być fałszywe. Pan przecie wreszcie odzyska pamięć, przypomni pan sobie przeszłość, a wtedy — wtedy uda nam się wyświetlić sprawę.

Bezimienny potrząsł niechętnie głową i rzekł smutno:

— Nie wiem; czasem zdaje mi się, że w mózgu naraz mi się wszystko rozjaśnia, że nagle zaczynam sobie wszystko przypominać, ale zaraz myśli moje ogarnia znowu nieprzebity mrok. Czy ja jestem tym, za którego mnie pan ma? Czy to on napadł na mnie w pociągu i obrabował mnie? Tego nie wiem i wątpię, czy się kiedy dowiem.

— Nie traćmy nadziei — pocieszał go Stein — Jedno tylko źle zrobiłem, mianowicie, że wszystko robiłem za prędko, na gorąco. Jeżeli rzeczy tak się mają, jak ja przypuszczam, to daliśmy znać łotrowi, który ukradł panu nazwisko, żeby się miał na baczności. No, ale na razie, jak powiedziałem już, nic nam to nie zaszkodzi. Tego hrabiego Pardua nie spuszczę ja już z oka. Podejrzywam go jeszcze o coś innego. Daje mi dużo do myślenia nagła śmierć siostry jego żony.

Wyszli z biura policyi i udali się ku hotelowi, w którym mieszkali.

Mrok już zapadał, kiedy znaleźli się przed bramą hotelu. Stein kazał bezimiennemu, aby sam udał się na górę, zapowiadając, że zjawi się najpóźniej za godzinę. Bezimienny usłuchał, Stein zaś poszedł jeszcze na miasto.

Po chwili stanął przed pałacem Solmsów. Wszedł do loży portyera i podawszy mu cygaro, zaczął go wypytywać o wszystkie, wiadome mu, szczegóły, tyczące się hrabiego Parduy. Wyszedłszy od portyera, mruczał pod nosem:

— A więc rzeczywiście się pomyliłem — i jako porządny człowiek powinienem jutro iść hrabiego przeprosić. Musi on mnie teraz uważać za skończonego osła!

Zatopiony w myślach i niezadowolony ze siebie powrócił do hotelu. O mało, że nie wszedł do obcego mieszkania, ale poznał jeszcze na czas pomyłkę i cofnął się.

Jednak, zaledwie stanął na progu pokoju, w którym mieszkał on i bezimienny, z piersi jego wydarł się okrzyk przerażenia. Na środku pokoju leżał bezimienny w kałuży krwi, z otwartą raną na piersiach.

Widok ten oprzytomnił detektywa. W jednej chwili znalazł się tuż obok bezimiennego i schylił się, słuchając, czy zeń jeszcze życie nie uleciało.

— Wielki Boże! Czyżby już umarł? — szepnął Stein.

Ale w tej chwili bezimienny raz jeszcze otworzył oczy, na ustach jego pojawił się bolesny uśmiech. Zdawało się, że zbiera siły, że chce coś powiedzieć. Wzrok wlepił w twarz detektywa, podniósł się i wyszeptał ledwie słyszalnym głosem:

- On jest moim mordercą — on, ten człowiek z blizną na prawej ręce.

Opadł na ziemię i zamknął oczy.

Stein zerwał się na równe nogi i zaczął dzwonić, co miał siły.

— Prędko! Sprowadzić lekarza! — zawołał do nadbiegających kelnerów — prędko, póki jeszcze żyje!

Kilku kelnerów zbiegło na dół, reszta wcisnęła się do pokoju.

— Kto z was był ostatni u tego pana? spytał Stein.

Nikt nie umiał odpowiedzieć. Wszyscy twierdzili, że bezimienny przyszedł sam do pokoju i że nikt się o niego nie pytał.

Wtem wzrok Steina padł na list, leżący obok zamordowanego, który jeszcze boleśnie charczał.

Schylił się i podniósł list. Był on adresowany do niego samego. Rozerwał kopertę i zaczął czytać, ale w miarę czytania wzrok jego nabierał ogni, twarz bladła coraz bardziej, a ręka, w której list trzymał, drżała ze wzruszenia.

— Biedna Erna! Biedna hrabina Pardua! — szepnął detektyw sam do siebie. — Nie upadniesz jednak, biedaczko, pod brzemieniem tajemnicy, która otacza śmierć twojej siostry, bo ja ciemności rozjaśnię...

W tej chwili wszedł do pokoju lekarz, znany już Czytelnikom Adolf Stürmer. Rzut oka wystarczył, aby młody doktór odrazu pojął całą grozę sytuacyi.

— Może go pan wyratować, panie doktorze? — zapytał Stein trwożliwie.

— Widoki są złe, bardzo złe, ale życie ludzkie spoczywa zawsze w ręku Boga. Ja mu udzielę pierwszej pomocy, a potem musi się go natychmiast przenieść do szpitala. Pst! — urwał naraz — porusza się, jeszcze przychodzi do siebie!

Nie otwierając oczu, szeptał bezimienny blademi wargami:

— On mnie zasztyletował — człowiek z blizną na prawej ręce.

Detektyw pochylił się nad nim i rzekł:

— Znajdę ja ci mordercę, znajdę! Wiem już, gdzie go mam szukać!

ROZDZIAŁ X.

Na tropie zbrodniarza.

Pełen nieokreślonej trwogi patrzał doktór Stürmer na kupę bielizny, leżącą w ogromnym nieporządku na dywanie; spodziewał się bowiem, że za chwilę zobaczy nie co innego, jeno bladą, zimnem śmierci ściętą twarz młodej hrabiny. Ale mylił się — pod bielizną nie było nikogo. Nawet ta ręka, którą tam widział, była jeno złudzeniem.

Łóżko jeszcze było ciepłe — hrabina musiała więc zostać dopiero przed chwilą porwaną.

W tej sekundzie, kiedy doktor Stürmer jeszcze bezradnie rozglądał się po pokoju, nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, co zaszło, wpadł do sypialni hrabia Pardua, widocznie wracając z klubu. Pokojówka, portyer i służący, którzy stali na progu przerażeni, rozpierzchli się.

— Co się tu stało? — krzyknął. — Gdzie moja żona?

Dech mu zapierało w piersiach; oczy błąkały się po łóżku.

— Żonę pańską porwano — odparł lekarz i w kilku słowach opowiedział, jak znalazł na ulicy nieprzytomną kobietę z dzieckiem, jak później ta kobieta wpadła w stan jasnowidzenia i przepowiedziała los hrabiny Pardua.

Hrabia zbladł jeszcze bardziej.

— A ta jasnowidząca — bełkotał drżącym głosem — znajduje się w pańskim domu? Jakże się nazywa?

Uderzyło to lekarza, że człowiek, któremu wykradziono żonę i może ją w tej chwili zamordowano, naraz tak się interesuje kobietą zupełnie obcą.

— Proszę mi wymienić nazwisko tej kobiety! — nalegał hrabia, a lekarzowi zdawało się, że z twarzy jego przebija ogromna trwoga.

— Sama nie mogła mi podać swego nazwiska, bo była zupełnie nieprzytomna, ale mały jej synek powiedział, że nazywa się Alfred Wilding. Zdaje mi się jednak, że to do rzeczy nie należy. Teraz chodzi jedynie o to, aby to morderstwo, popełnione tutaj zaledwie przed godziną, wyświetlić. Poznałem dzisiaj pewnego człowieka, niejakiego komisarza Steina, pozwoli pan, że udam się do niego i jego o radę poproszę.

Hrabia nic nie odpowiedział. Opadł na krzesło i jeszcze nie mógł sobie z tego wszystkiego zdać sprawy. Erna znikła, może już nie żyje — w takim razie on jest żebrakiem, bo dobra hrabiego Parduy we Francyi nie miały dla niego najmniejszego znaczenia, a spadku po żonie nie mógł naruszyć nawet, bo na to trzeba było zezwolenia Erny.

Tymczasem doktor Stürmer pospieszył do hotelu do komisarza Steina. Znalazł go chodzącego po pokoju, zamyślonego, zagłębionego w badaniu tajemniczego morderstwa, którego ofiarą padł bezimienny. Doktor Stürmer stał już w progu, kiedy go Stein spostrzegł:

— Pan, tak późno? — zawołał, a zobaczywszy twarz jego, na której przebijało się olbrzymie wzruszenie, dodał: — Co się stało, czyżby bezimienny miał się gorzej?

Doktor Stürmer potrząsł głową.

— Chodź pan natychmiast ze mną, panie komisarzu — wyrzekł prędko — opowiem panu po drodze straszne nieszczęście.

Stein nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć, a kiedy znaleźli się przed domem, w którym mieszkał hrabia Pardua, wiedział już wszystko. Ponure jego oblicze dawało do poznania, że tajemniczy ten wypadek brał tragicznie na uwagę.

Hrabia siedział jeszcze w tym samym pokoju, w którym popełniono zbrodnię. Stein nie mówił doń ani słowa, a na jego pytania wzruszał jeno ramionami.

Komisarz wziął lampę i oglądnął naprzód łóżko, potem podłogę.

— Może pan wyjaśnić ten zagadkowy wypadek, panie Stein? — zapytał lekarz.

— Mam nadzieję, że wszystko wkrótce się wyjaśni — odparł detektyw. — Tu w pokoju, zdaje mi się, nie znajdziemy nic ważnego, ale zobaczyć nie zaszkodzi.

Wyciągnął z kieszeni lupę, metr i na kolanach czołgał się po pokoju, mierząc, porównując, badając każdy szczegół. Jego długi nos zdawał się dotykać parkietów, a oczy błyszczały mu jak oczy jastrzębia, czatującego na zdobycz. Podobny był do psa, który węszy, czy nie wpadnie na ślad. Naraz podniósł głowę i zawołał:

— Mamy szczęście. Morderca wlazł w suterynach do kreozotu, na miękkim dywanie można jeszcze dokładnie rozpoznać odbicie jego nóg. Buty miał o bardzo niskich obcasach, ale to były buciki zgrabne, eleganckie.

— Co więcej? — pytał Stürmer, a hrabia patrzył także na detyktywa z naprężeniem.

— Co więcej? No, mamy go; to wszystko! Mam psa, który za tym śladem pójdzie na koniec świata. Bo jeżeli zwyczajny pies potrafi iść za tropem, to tembardziej potrafi to pies, specyalnie w tym celu tresowany, tembardziej, że prowadzić go przecie będzie silny, ostry zapach kreozotu. Jeżeli pan ma czas, panie doktorze, i zechce mi pan dopomódz do rozwiązania tej zagadki, to idź pan na ulicę Piaskową numer 4, niedaleko nad brzegiem rzeki.

W trzecim domu po prawej ręce jest tam sklep z wypchanemi zwierzętami. Zapukaj pan do właściciela, do starego Hellbartha. Powiedz mu pan, że mu się kazałem kłaniać i że go proszę, aby mi bezzwłocznie przysłał Zagraja. Jak go panu da, zechce pan przywieźć go tu w dorożce.

— Zagraja? To pewnie psa? — zapytał lekarz, ucieszony, że może w czemś pomódz detektywowi.



...i wyniósł w zębach jakiś przedmiot. Był to wspaniały, brylantami ozdobiony grzebień, noszony przy modnych fryzurach przez bogate panie.

— Jeżeli mi pan tego Zagraja przywiezie — odparł detektyw — to będę miał zeń większą pomoc, jak z całej tutejszej tajnej policyi. Tymczasem muszę zbadać ogród.

Doktor Stürmer już nie słuchał. Wybiegł z pokoju, wiedząc, że główną rzeczą w takich sprawach jest pośpiech. Pomimo smutku, jaki mu ściskał serce, rwące się prawie z bólu za istotą, którą dzisiaj jeszcze najbardziej na świecie kochał, miał nadzieję, że przecież Steinowi uda się wykryć mordercę, który porwał młodą hrabinę. Ale, czy Erna jeszcze żyć będzie?

— Boże! Nie zabieraj jej jeszcze do siebie! Daj jej żyć jeszcze! — modlił się serdecznie, ocierając pot z czoła.

Doszedł właśnie na ulicę, przy której miał mieszkać wypychacz zwierząt. Przez kilka chwil pukał do domu pod liczbą 4, ale bezskutecznie. Nareszcie w górnem okienku bramy ukazała się jakaś twarz w bladem świetle lampki.

— Pan detektyw Stein — zaczął lekarz.

Słowa te musiały mieć w sobie magiczną moc. Okno bowiem zamknęło się natychmiast, a za chwilę brama się otworzyła. Stary Hellbarth, wysoki mężczyzna z rozrosłemi jak olbrzym barami, w okularach niebieskich na nosie, podniósł lampę do góry i rzekł:

— Przyjaciel pana Steina jest dla mnie zawsze miłym gościem. Wejdź pan, a miej się pan na baczności przed brytanem, bo kąsze!

— Bądź pan tak dobry i daj mi pan psa, który się wabi „Zagraj“, pan komisarz Stein potrzebuje go na gwałt!

— A więc chodźże pan! — odparł starzec i poprowadził lekarza przez kilka ubikacyi.

Zagraj — był to pies strasznie brzydki, na pół dziki, z długiemi uszami, zwisającemi mu z niezgrabnego łba. Po chwilowym uporze wziął nareszcie z ręki doktora kawałek cukru, podany mu przez Hellbartha. To było pieczęcią ich przyjaźni, bo poszedł za doktorem do dorożki.

Na poblizkim zegarze kościelnym wybijała trzecia po północy, kiedy Stürmer razem ze Zagrajem dojechali przed pałac hrabiego Parduy.

Stein wziął psa za kaganiec i zaprowadził go do dywanu, na którym widać było wyraźnie odcisk buta. Zagraj pochylił łeb i zaczął odcisk obwąchiwać, potem rzucił się ku oknu i skoczył na nie.

— Człowiek, który porwał pańską żonę, uciekł przez okno — zwrócił się Stein do hrabiego. — Z pomocą psa pójdę teraz za jego tropem i jak Bóg da, przywrócę panu małżonkę.

— Po królewsku to panu nagrodzę! — rzekł i chwycił ręce komisarza, aby je serdecznie uścisnąć. Bo też od tego człowieka spodziewał się wszystkiego. Ale Stein, jakby go nagle żmija ukąsiła, odskoczył od niego, utkwiwszy zdumiony wzrok na prawej ręce hrabiego.

— Do widzenia! — krzyknął i ciągnąc za sobą doktora wybiegł przez okno z pokoju, pozostawiając hrabiego w męczącem zakłopotaniu.

Przeszli już kawał drogi. Zagraj nie patrzył ani na prawo ani na lewo, jeno biegł ze spuszczonym łbem. poszczekując od czasu do czasu na znak, że jeszcze śladu nie stracił.

Zbrodniarz, którego ścigali, uciekał, widocznie dla zatracenia śladów po sobie, zygzakowatą drogą, ustawicznie bocznemi ulicami. Zagraj zatrzymał się dopiero na obszernym placu, ale znalazł ślad napowrót i pobiegł dalej, ku rzece, nad którą stanął znowu.

— Przewieść się kazał na drugą stronę — zauważył Stein i zawołał na rybaka, który podjechał z łódką i ofiarował im się z przewiezieniem na drugi brzeg. Stein badał go bardzo zręcznie, ale rybak stanowczo nic o niczem nie wiedział.

Na drugim brzegu Zagraj puścił się zrazu na prawo, potem stanął i zaczął szczekać, wreszcie schylił znowu łeb ku ziemi i pociągnął detyktywa i doktora tuż nad wodę, zanurzył łeb w zimne nurty rzeki i wyniósł w zębach jakiś przedmiot. Był to wspaniały, brylantami ozdobiony grzebień, noszony przy modnych fryzurach przez bogate panie.

Z piersi Stürmera wydarł się głuchy jęk, twarz mu zbladła, a całem ciałem wstrząsał dreszcz przemocą hamowanego gniewu.

— Ten zbrodniarz — jęknął — rzucił nieszczęśliwą do rzeki — on ją zamordował, utopił!

— Widziałeś pan kiedy ten grzebień u hrabiny? — zapytał Stein ogromnie wzruszony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

25 dni życia pod ziemią.

W poprzednim numerze zamieściliśmy podobizny kilku górników francuskich z liczby trzynastu niespodziewanie ocalonych w dwadzieścia dni po wybuchu strasznej katastrofy w kopalni węgla w Courrieres, której ofiarą padło tysiąc kilkaset



25 dni życia pod ziemią: Górnik August Berton, ostatni z ocalonych po katastrofie w Courrieres, który ze wszystkich najdłuższy czas wytrwał przy życiu w głębi kopalni po pożarze.

ludzi. Skoro zaś jeszcze prócz nich napotykano tegoż dnia gdzieniegdzie w zakamarkach kopalni prawie ciepłe trupy górników, którzy musieli zginąć dopiero przed kilku godzinami, a mocowali się ze śmiercią w ciągu trzech tygodni, oburzenie ludności miejscowej przeciw zarządowi kopalń przechodziło już wszelkie granice. Wdowy, sieroty i matki, które tam w podziemiach potraciły świeżo mężów, ojców i synów, wpadały w rozpaczy na myśl, że może i ich najdrożsi męczą się tam jeszcze żywcem w grobie i napadały na urzędników górniczych, domagając się energiczniejszego poszukiwania. Oddziały ratunkowe pracowały tedy nadal, ale bezskutecznie poszukiwały żywych, a natrafiały tylko na trupy. Mimo to rozchodziły się co chwila pogłoski o ocaleniu nowych górników. Niestety, nie sprawdzały się one.

Aż wreszcie jednego dnia, a było to już w 25 dni po katastrofie, kiedy lekarze zapewniali, iż jest niepodobieństwem, by mógł ktokolwiek jeszcze znajdować się przy życiu w podziemiach przez czas tak długi, rozbiegła się wieść, tym razem prawdziwa, że wydobyto przecież jeszcze jednego górnika żywego. Nazywa się on Berton, a liczy lat 32. Oto szczegóły jego ocalenia: Rano oddział robotników pracował w głębokości 330 metrów, kiedy jeden z pracujących uczuł uderzenie w plecy i usłyszał słowa: „Jestem ocalony“... Był to Berton, którego twarz była czarna od pyłu węglowego. Wydobyto go na wierzch i przedewszystkiem w koce obwinięto, celem ochronienia go od światła. Następnie odstawiono go z licznemi ranami na nogach do szpitala, dokąd zaraz przybyła żona, od czterech tygodni opłakująca śmierć jego. Nasza illustracya przedstawia właśnie Bertona na łożu szpitalnej sali, w chwili, gdy żona trzyma go za rękę, wypytując o szczegóły 25-dniowego pobytu w podziemiach.



Olbrzymie wydawnictwo polskie: Znany pionier przemysłu krajowego, dyrektor „Ligi pomocy przemysłowej“ we Lwowie, Józef Olszewski, którego głównie zasługą wyszedł pierwszy „Skorowidz przemysłowo-handlowy król. Galicyi“.

W uzupełnieniu szczegółów o uratowaniu Bertona podają dzienniki francuskie opowiadanie Bertona o jego błędnej wędrówce po kopalni.

„W dniu katastrofy — mówi Berton — uciekłem razem z innymi, lecz padłem zemdlony i zasnąłem. Skoro się tylko ocknąłem, oglądałem się naokoło za moim krewnym Aubergerem, który podczas ucieczki był razem ze mną. Nie mogłem go już odszukać i znalazłem się samotny pośród ciemności; czułem się zupełnie złamany na duchu. Skoro chwilowe osłabienie minęło, podniosłem się z ziemi i macając rękami, szukałem drogi do windy. Udałem się w stronę północną kopalni, gdzie znalazłem wodę. Byłem tak spragniony, że wypiłem może ze dwadzieścia kubków wody. Potem czując coraz większe znużenie, przewróciłem taczki i rzuciłem się na to zaimprowizowane łoże. Było ono wcale twarde, pomimo to jednak zasnąłem smacznie. — Jak długo spałem, nie wiem, straciłem bowiem zupełnie rachubę czasu. Skoro się obudziłem, uczułem dotkliwy głód; udałem się przeto na poszukiwania za jedzeniem. Wreszcie znalazłem zdechłego konia.

Dobrze, pomyślałem sobie — jeśli nic lepszego nie znajdę, wykroję sobie w każdym razie kawałek mięsa.

Zacząłem więc szukać po wszystkich kątach za jakiemś ostrem narzędziem, któremby można rozkroić mięso. Błądziłem długo po krużgankach podziemnych. Kiedy wreszcie odkroiłem kawałek mięsa, wydało mi się wprost wstrętnem; czuć je było tak silnie, że musiałem zrezygnować z zamiaru sprawienia sobie tej skromnej mięsnej uczty.

Znużony, zgłodniały, położyłem się znowu na taczkach, a wypocząwszy, zacząłem ponownie wędrówkę po galeryach. W jednym krużganku, biegnącym pochyło ku dołowi, potknąłem się nagle o ciało młodego górnika. Był on już martwy. Przeszukałem kieszenie jego ubrania i zabrałem znaleziony chleb, który tylko z trudnością mogłem jeść, gdyż był on twardy i nadpsuty.

Doszedłem wreszcie w okolicę szybu Józefiny. Tutaj znalazłem trzy paczki z jedzeniem, które górnicy zabrali ze sobą do kopalni. Następnie powróciłem do miejsca, skąd pierwotnie wyszedłem. Ze snu na taczkach obudziło mnie dotkliwe zimno. Zdjąłem przeto ubranie ze zwłok górników i wdziałem na siebie. Jednemu z towarzyszów ściągnąłem także buty i wdziałem na nogi. Znalezione w ubraniach trzy zegarki i 24 sous zabrałem ze sobą.

Na zapytanie dra Lourties'a, czy nie popadł w rozpacz, odpowiedział Berton: „Z początku nie, później straciłem wszelką nadzieję ocalenia. W okresie tego zwątpienia chciałem sobie przeciąć żyły w ręce; uderzyłem kilkakrotnie motyką w rękę, aby spowodować krwawienie. Wnet jednak odzyskałem znowu odwagę. Zwłaszcza, gdy znalazłem



Polski rewizor w rosyjskim teatrze: Znakomity polski artysta Kazimierz Kamiński, zaproszony do Petersburga do odegrania po polsku w rosyjskim teatrze swej niezrównanej kreacyi „Rewizora“ w sztuce Gogola.

pożywienie w zawiniątkach towarzyszów, nabrałem znów lepszej myśli. Czas upływał, jadłem i spałem, piłem z flaszek, znajdywanych przy zwłokach towarzyszów i błąkałem się na wszystkie strony, szukając ratunku. Ocalenie zawdzięczam przypadkowi. Nagle spostrzegłem światło, zacząłem krzyczeć i w ten sposób zostałem uratowany“.

Na zapytanie, jak długo przebywał pod ziemią, odpowiedział Berton: „Ośm dni“. Gdy mu zwrócono uwagę, że to złudzenie i że w istocie prze-



Olbrzymie wydawnictwo polskie: Andrzej książę Lubomirski, prezes „Ligi przemysłowej“, która podjęła się wydawnictwa „Skorowidza handlowo-przemysłowego król. Galicyi“.

był tam 25 dni, rzekł z namysłem: „Ach i to możliwe“.

Berton odebrał w szpitalu z powodu swego cudownego ocalenia mnóstwo powinszowań od różnych dygnitarzy państwowych, między innymi i od ministra robót publicznych Barthou'a.

Olbrzymie wydawnictwo polskie.

Założona w r. 1903 Liga pomocy przemysłowej poczęła budzić społeczeństwo nasze do myślenia i do pracy nad podniesieniem przemysłu krajowego. W tych swoich usiłowaniach napotkała jednak zaraz u wstępu na kardynalne trudności: brak inwentarza pracy wytwórczej i handlowej w kraju. Stąd też powstała myśl i projekt stworzenia „Skorowidza przemysłowo-handlowego królestwa Galicyi“.

Przedsięwzięcie to było ogromnie trudne a praca nad niem iście syzyfowa. Chodziło bowiem o dostarczenie każdemu obywatelowi kraju dokładnego spisu wszystkich warstatów krajowej pracy przemysłowej i handlowej i to z podaniem zakresu i rodzaju tej pracy. Obok tego miał być ten skorowidz informatorem o warunkach życia przemysłowo-handlowego w kraju, o wszelkich ulgach, subwencyach, stypendyach, fundacyach przemysłowych, o szkolnictwie zawodowem, o podatkach itd.

Zadanie zaś, jakiego się podjęła Liga, było o tyle trudniejsze, iż urzędowe wykazy przedsiębiorstw przemysłowych w kraju były niewystarczające, zawierały często daty nieprawdziwe i miały wartość tylko fiskalną. Rozglądnięto się więc i za innemi źródłami. W ciągu dwu lat pracy nad skorowidzem rozesłano 180.000 listów, kart korespondencyjnych i okólników, wysyłano zdolnych ajentów, używano pośrednictwa Towarzystw pomocy przemysłowej na prowincyi i tą drogą zdołano zebrać 80 000 adresów z zakresu produkcyi i handlu w kraju, wraz z informacyami o rodzajach wytwarzanych i pozbywanych towarów.

Skorowidz, który się ukaże za kilka tygodni, będzie pierwszym tego rodzaju polskiem wydawnictwem, będzie jednem z największych a pod wielu względami największem w kraju. Wyjdzie bowiem w 30.000 egzemplarzy, w 50 arkuszach druku. Nad ułożeniem tego olbrzymiego dzieła pracował z całem poświęceniem i zaparciem się dzielny pionier przemysłu krajowego, dyrektor „Ligi“ p. Józef Olszewski, sekretarz „Ligi“ p. St. Sokołowski oraz 12 sił pomocniczych. Praca redakcyjna trwała pełne dwa lata. Od ośmiu miesięcy drukuje się skorowidz w trzech największych drukarniach w kraju: Anczyca w Krakowie oraz Udziałowej i „Polonia“ we Lwowie. Zużyto na ten cel 4 wagony papieru z fabryki Fijałkowskich w Białej. Oprawa egzemplarzy w płótno odbywa się w osobno urządzonej w tym celu pracowni introligatorskiej p. Getritza we Lwowie.

Przyjście do skutku tego pożytecznego dzieła zostało umożliwionem przez ogólne poparcie, jakiego „Liga“ doznała, otrzymawszy subwencyę od rządu, kraju, wielu gmin i powiatów, oraz instytucyj prywatnych. Dzięki temu też, mimo iż koszt wydawnictwa przekroczył kwotę 70 tysięcy koron, egzemplarz skorowidza kosztować będzie w przedpłacie tylko 4 kor., po wyjściu z pod prasy 5 kor. Skorowidz „Ligi“ robi już na pierwszy rzut oka dodatnie wrażenie z powodu jasności i przejrzystości w układzie. Ma zaś i tę wartość, że wśród szerokich warstw poda wiadomości o fabrykach w kraju.

Wobec bardzo trudnego zadania finansowego „Ligi“ należy się spodziewać, że ogół społeczeństwa w poczuciu obowiązku poprze to wydawnictwo: odda w ten sposób bardzo dużą usługę przemysłowi krajowemu.



Olbrzymie wydawnictwo polskie: Grupa współpracowników „Skorowidza przemysłowo-handlowego król. Galicyi“ wydanego przez „Ligę pomocy przemysłowej“ we Lwowie. (Fot. dla „Nowości Ill.“ M. Münz we Lwowie).

W dzisiejszym numerze podajemy zdjęcie grupy współpracowników „Skorowidza“, ubikacyę pracowni introligatorskiej p. Getritza, obróconą wyłącznie na roboty nad oprawą „Skorowidza“, oraz portrety zasłużonego prezesa „Ligi“, jednego z najwybitniejszych naszych ludzi, ks. Andrzeja Lubomirskiego, oraz dyrektora „Ligi“ J. Olszewskiego.

Polski rewizor w rosyjskim teatrze.

Któż nie zna znakomitej komedyi Gogola pod tytułem: „Rewizor z Petersburga?“ Doskonały znawca zapadłej prowincyi rosyjskiej, patrzący z wyżyn wysokiej kultury i wielkiego umiłowania ludzi na wszystkie ludzkie wady i ułomności, odsłonił Gogol w „Rewizorze“ całą szarzyznę, brudy prowincyonalnego miasteczka rosyjskiego, w którem czynownicy rej wodząc, z biednych kupców zdzierają skórę. Przyzwyczajeni do brania łapówek, przekonani, że łapówką wszystko się zrobi, zapomocą tych właśnie łapówek chcą się wedrzeć w łaski rewizora, który wcale nie jest rewizorem i po wielu dopiero nadzwyczaj dowcipnych konfliktach, poznają swoją głupotę, nie podłość, bo tej poznać nie są już zdolni. Sam „rewizor“ jest postacią tak na wskróś rosyjską, tak żywcem wydartą z szarzyzny małomiasteczkowego życia rosyjskiego, że faktycznie zdawaćby się mogło, iż dobrze go odegrać potrafi tylko Rosyanin z krwi



Olbrzymie wydawnictwo polskie: Ubikacya pracowni introligatorskiej Getritza we Lwowie, obrócona wyłącznie na roboty nad oprawą „Skorowidza przemysłowo-handlowego“ wydanego przez „Ligę pomocy przemysłowej“. (Fot. dla „Nowości Ill.“ M. Münz we Lwowie)

i kości. Tymczasem — dziwna rzecz — przekonano się, że najlepszym odtwórcą „Rewizora“ jest właśnie nie Rosyanin, ale Polak, mianowicie znakomity nasz artysta p. Kazimierz Kamiński. Tak „Rewizora“ zagrać, jak go gra Kamiński, nie potrafi nikt chyba w żadnym teatrze, a kto Kamińskiego widział w tej roli, ten go nigdy nie zapomni.

Z miłą przyjemnością przyjmą zapewne wielbiciele talentu p. Kamińskiego wiadomość, że dyrekcya rządowego teatru w Petersburgu zaprosiła naszego genialnego artystę na występ dla ubogich w komedyi Gogola w „Rewizorze z Petersburga“. Co dziwniejsza, że Kamiński rolę tę grać będzie po polsku w otoczeniu artystów, grających po rosyjsku.

Dzielni obrońcy pod sądem.

(Do illustracyj na stronie 8).

W krótkim acz pamiętnym okresie swobód konstytucyjnych w Królestwie Polskiem, kiedy słowem i pismem dopominano się o samorząd, o język polski w urzędach, szkołach, gminach, znaleźli się również dwaj dzielni obrońcy sądowi, adwokaci przysięgli Tadeusz Strzembosz i Józef Szyff, którzy w śmiało napisanych w „Kuryerze Porannym“ artykułach pt. „A wy milczycie“ i „Sami nie pojedziecie“ wskazali na piekące potrzeby sądownictwa w Królestwie Polskiem, jakoteż na święte obowiązki całego stanu adwokackiego.

Oba artykuły wstrząsły opinią publiczną, lecz niestety władza dopatrzyła się w nich ubliżenia czci całego sądownictwa w Królestwie Polskiem i wytoczyła autorom artykułów jakoteż odpowiedzialnemu redaktorowi „Kuryera Porannego“ p. Feliksowi Fryzemu sprawę o przestępstwo prasowe.

Wobec tego jednak, że wszyscy sędziowe w Królestwie są poniekąd poszkodowani w tej sprawie, przeto senat w Petersburgu uznał za niestosowne powierzać jej sądom miejscowym i przekazał do rozpatrzenia i oskarżenia sądowi okręgowemu w Grodnie na Litwie.

W charakterze oskarżonych badał też onegdaj obu adwokatów przysięgłych jak i red. Fryzego specyalnie przybyły z Grodna sędzia śledczy do spraw szczególnej wagi w asystencyi podprokuratora sądu grodzieńskiego. Po zbadaniu oskarżonych zażądano od każdego z nich po 300 rubli kaucyi. Po złożeniu jej pozostawiono wszystkich trzech oskarżonych na wolności.

Ostateczna rozprawa, która rzuci bezstronne światło na sprawy sądownictwa w Królestwie Polskiem, odbywać się będzie za miesiąc w Grodnie, jeśli — jeśli spodziewana powszechnie z okazyi otwarcia Dumy państwowej amnestya nie umorzy jej sama przez się. *B-t.*

Wracają do Lwowa.

(Do illustracyj na stronie 9).

Nowy dyrektor teatru miejskiego we Lwowie trzyma jeszcze w tajemnicy prawdziwą listę nazwisk artystów, których angażuje na przyszły sezon do swego personalu. Lada dzień obiecuje zapoznać publiczność ze swemi zdobyczami. A tymczasem za kulisami teatrów galicyjskich, podobnie jak w Warszawie i w Łodzi krążą na ten temat coraz to nowe konbinacye, według których, jeżeli tylko tak dalej pójdzie, scena warszawska, zarówno jak krakowska, potraci wreszcie na rzecz Lwowa wszystkie najlepsze siły. Ale zdaje się, że te wszystkie podboje Ludwika Hellera należy w znacznej części kłaść między bajki. Dawaliśmy niedawno naszym Czytelnikom portrety artystów krakowskich, których zabiera Heller napowrót do Lwowa. Co do tych dziś już nie ma wątpliwości, że zostali zaangażowani do lwowskiego teatru: mówimy tu o Walewskim i Sosnowskich. Teraz wypada nam zacząć szereg portretów artystów „odbitych“ przez Hellera Warszawie. Niestety do tej chwili nie ma jeszcze pewności, kogo odbierze Lwów „Rozmaitościom“. Najuporczywiej mówią o Sewerynie Nowickim, świetnym amancie lirycznym i bohaterskim, który już od 20 lat zasiedział się w Syrenim grodzie, a niegdyś, jako 20-to kilkoletni młodzian debiutował w Skarbkowskim teatrze we Lwowie, gdzie szkoły kończył, jest bowiem Galicyaninem i pochodzi z Nadwórnej.

Z wszelką pewnością wraca do Lwowa córa Nadpełtwiańskiego grodu, Józefa Gwiszczówna, która od niedawna z powodzeniem pod nazwiskiem Bielskiej występuje w Warszawie jako zdolna śpie-



Kraków na Emausie: Widok głównej ulicy ze straganami pod klasztorem Norbertanek na Zwierzyńcu nad Wisłą w czasie tegorocznego obchodu Emausu w poniedziałek Wielkanocny. (Aparatem „Nowości Ill.“ fot. W. Lis).



Kraków na Emausie: Kramy przed klasztorem Norbertanek na Zwierzyńcu w czasie tegorocznego obchodu Emausu. (Aparatem „Nowości Ill“. fot. W. Lis).



Kraków na Emausie: Przed starym kościołem św. Salwatora na Zwierzyńcu, w czasie tegorocznego obchodu Emausu. (Aparatem „Nowości Ill“. fot. W. Lis).

waczka operetkowa w teatrze „Nowości“. Debiutowała ona za dyrekcyi Hellera na lwowskiej scenie jako uczenica prof. Wysockiego, poczem przez pewien czas występowała u Pawlikowskiego. Dziś z przyjemnością powitają znajomi lwowscy sympatycznej artystki jej rychły powrót do teatru Hellera.



Aparatem „Nowości Illustrowanych“, fot. W. Lis w Krakowie.
Próba szczęścia: Przedświąteczna wenta spożywcza na cele dobroczynne w Wielki Czwartek w ujeżdżalni przy ulicy Rajskiej w Krakowie.

Król szwedzki u Siemaszkowej.

Wanda Siemaszkowa, która od pewnego czasu bawi na kuracyi w Mentonie, miała zaszczyt być przedstawioną przed tygodniem królowi Oskarowi szwedzkiemu. Sędziwy monarcha odwiedzał na Jasnym brzegu sanatoryum, w którem mieszka nasza wielka artystka. Przedstawiono mu kilka wybitnych osobistości, a między niemi — jak się wyrażają nicejskie dzienniki — „panią Wandę de Siemiaszko, znakomitą tragiczkę polską“. Król się zatrzymał, wyciągnął rękę do artystki i w serdecznych słowach zaczął dopytywać się o Polskę.

— A czy pani zna osobiście Sienkiewicza? Pani wie, że Szwecya uczciła waszego wielkiego poetę-idealistę nagrodą Nobla...

Rozmowa w dalszym ciągu potoczyła się tym tonem. Król słuchał z zajęciem szczegółów, których mu nasza artystka udzielała. Mówiono o literaturze, o sztuce, a monarcha przez dłuższy czas z zadowoleniem i z zajęciem prowadził dyskusyę ze swą utalentowaną interlokutorką, poczem gorąco podziękował artystce i serdecznie ją pożegnał.

Próba szczęścia.

Od szeregu lat weszło w Krakowie w zwyczaj urządzanie przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy went gospodarczych, cieszących się zawsze olbrzymiem powodzeniem. Wenty urządzane są stale przez grono pań z towarzystw dobroczynnych, czysty bowiem dochód przeznaczony jest zawsze na jakiś szlachetny cel, mający za zadanie otrzeć łzy nieszczęśliwym.

Dla sfer uboższych wenta gospodarcza, odbywająca się w ujeżdżalni p. Targowskiego, przy ulicy Rajskiej, jest zawsze sensacyą dnia. To też w dniu loteryi cisną się do ujeżdżalni tłumy ludzi, ożywionych nadzieją, wygranej, nadzieją zdobycia za kilkadziesiąt groszy wiktuałów i smakołyków na święta, hojnie nadsyłanych na wentę przez szlachetnych kupców krakowskich.

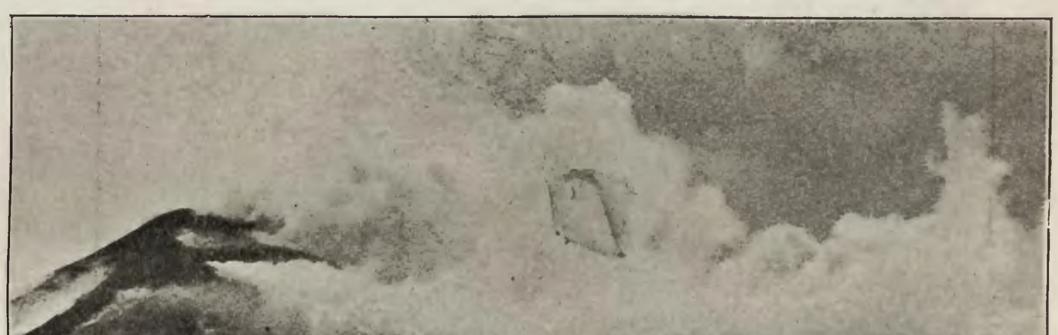
Ostatnia wenta odbyła się w Wielki czwartek. Olbrzymia ujeżdżalnia zapełniła się po brzegi ludnością, która formalnie oblegała stoliki z fantami — jak to zresztą widać najlepiej na załączonej obok fotografii, zdjętej podczas największego ruchu. Ożywiony gwar napełniał całą ujeżdżalnię, co chwilą wyrywał się z tłumu jakiś radosny okrzyk, niehybny znak, że ktoś wygrał ładny fant, to znów przeciągłe „eh“ — kiedy los się komu nie uśmiechnął. O ruchu jaki tam panował, świadczy nalepiej fakt, że w przeciągu dwóch godzin wszystkie fanty znikły już ze stołów, tylko nadobne Krakowianki, sprzedające losy, zajęte były jeszcze liczeniem dochodu, przeznaczonego na zakład dla opuszczonych sierót p. Żurowskiej na Zwierzyńcu.



Król szwedzki u Siemaszkowej: Znakomita tragiczka polskiej sceny, Wanda Siemaszkowa, którą król szwedzki Oskar odwiedził w Mentonie, gdzie artystka leczy się po zapaleniu płuc.

Kraków na Emausie.

Takiego kwietnia jeszcześmy nie mieli. Od dwóch tygodni upały lipcowe, niebo bez przerwy bezchmurne, deszczu ani razu, słowem — lato w całej pełni. Toteż dużo uroku dodawała pogoda tak niezwykle o tej porze piękna tegorocznym kościelnym obchodom Wielkotygodniowym. A Krakowianie obawiali się tylko, czy czas taki wytrwa aż do końca świąt. W podwawelskim grodzie bowiem są powody podwójne, dla których wzdycha się do pogody na Wielkanoc. Oprócz wędrówki od domu do domu na święcone, czekają Krako-



Straszny wybuch Wezuwiusza: Widok Wezuwiusza w chwili wzmożonej działalności wulkanu.



Straszny wybuch Wezuwiusza: Podczas nieustannego deszczu popiołu i kamieni, pobożni mieszkańcy Neapolu niosą przeciwko niszczącym strumieniom lawy z wulkanu, figurę św. Anny, błagając głośno o cudowne ocalenie.

wianina dwie obowiązkowe co rok wycieczki: na tradycyjny obchód Emausu na Zwierzyńcu w poniedziałek świąteczny i znowu nazajutrz na Rękawkę na Krzemionkach.

Tym razem pogoda wytrwała do końca Wielkiejnocy i pociągnęła w drugie święto cały Kraków na Emaus, gdzie od rana tysiące ludzi dławiło się kurzu tumanami skutkiem posuchy i wsłuchiwało się w piekielną muzykę trąbek, piszczałek itp. miłych zabawek ze straganów. Znamy to wszyscy na pamięć od tylu lat. A jednak jakże tu nie pójść na Emaus. Zwyczaj każe, tradycya. Więc znaleźliśmy się tam wszyscy i — rzecz prosta — nie brakło na miejscu fotograficznego aparatu „Nowości Illustrowanych“, który uwiecznił w porannych godzinach naprzód pobożnych wchodzących i wychodzących z nabożeństwa w starym kościele św. Salwatora, a następnie po dwakroć ruch przed odpustowemi straganami pod murem odwiecznego klasztoru Norbertanek nad Wisłą.

Straszny wybuch Wezuwiusza.

Na mi jscu katastrofy.

Jeden z korespondentów wysłany do Neapolu zaraz po pierwszych objawach wzmożonej czynności Wezuwiusza, tak opisuje jego pierwszy wybuch: „O godzinie wpół do 1-szej w nocy z dnia 7-go na 8 go bm. cały Neapol zbudził się nagle ze snu wskutek strasznego huku, jak gdyby tysiąca razem wystrzelonych armat. Domy zadrżały w posadach. Przeważna część ludności sądziła, że jest to trzęsienie ziemi, to też tłumy wybiegły na wpół ubrane na ulicę, spotykając się tam niebawem ze zbiegami, przybywającymi z pobliskich wsi. Przez całą noc trwała najstraszniejsza panika, dopiero rano zoryentowano się nieco w sytuacyi“.

Ze sprawozdań miejscowych pism można już powoli odtworzyć sobie obraz strasznej katastrofy, która nawiedziła znowu południowe Włochy. Cała ludność zagrożonych miejscowości jest objęta panicznym strachem. Nieszczęśliwi nie sypiają wcale, ustępując powoli krok za krokiem przed strasznym zalewem, pochłaniającym całe ich mienie. Nieustannie przytem pada deszcz, tak, że ludność obozująca pod gołem niebem cierpi także wskutek zimna i wilgoci. Wieśniacy sądzą, że nadszedł koniec świata, tłumnie klęczą na drogach, płacząc i wznosząc ręce ku niebu. Karabinierzy i strażacy musieli wprost walczyć gdzieniegdzie z chłopami, którzy zachowują się jak obłąkani i chcą się rzucić w strumień lawy, pożerający ich pola i winnice. Lawa zniszczyła już wiele chat, nagie ich mury wysterczają, jako jasne plamy z czarnego morza.

Szczególny widok przedstawia ognisty strumień, gdy w swej drodze napotka na studnię. Woda z sykiem walczy przeciw żarowi, gęste chmury pary unoszą się ku górze, ściany studni pękają pod olbrzymim naporem prężności pary wodnej, uwięzionej w głębi, a w otwierającą się czeluść wlewają się z hukiem fale lawy.

Lawa płynie przeciętnie z szybkością pięciu metrów na minutę, chwilami jednak strumień zwalnia swój bieg, to znowu podsycony nowym wybuchem wulkanu, bieży z powiększoną szybkością. Na krańcach płynna masa krzepnie nieco, lecz wnet fale ją rozgrzewają. Nietylko ludzie, ale i zwierzęta są przerażone. Pies jednego z wieśniaków, szczekając głośno rzucił się ku, tajemniczemu, nieuchwytnemu wrogowi; krótki błysk, syk palącej się skóry — i biedne zwierzę znikło w lawie.

Począwszy od Kapui — opowiada korespondent — wjeżdża się już w teren opadów popiołu. Wezuwiusza nie widać, niebo jest czarne i ponure, słychać huk podobny do grzmotów, migają błyskawice.



Straszny wybuch Wezuwiusza: Na miejscu katastrofy: Zniszczenie wielkich hal targowych w Neapolu skutkiem wybuchu wulkanu.

Niebawem i sam pociąg z zewnątrz i z wewnątrz zabiela się popiołem. Przed dworcem neapolitańskim czekamy całe godziny, bo tor i zwrotnice muszą być oczyszczone przed przybyciem każdego pociągu. Między szynami leżą kupy popiołu. Każdy z podróżnych wygląda, jakby oprószony śniegiem. W Neapolu panuje cisza i przygnębienie. Chodniki zasypane popiołem. Przechodnie otwierają parasole, po których „lapilli“ (kamyczki lawy) bębnią, jak grad. Od wczesnego rana przejeżdżają przez zabrudzone ulice wozy najrozmaitszego kształtu. Długie szeregi furgonów wojskowych przywożą uciekających. Mundurów żołnierzy nie można rozpoznać pod warstwą popiołu i szlamu. Powietrze jest przesiąknięte popiołem, który wdziera się do oczu i do gardła. Ogrody w całym Neapolu przedstawiają obraz zniszczenia.



Straszny wybuch Wezuwiusza: Na miejscu katastrofy: Zniszczenie miejscowości Boscotrecase i pochód lawy w stronę Torre Annunziata.

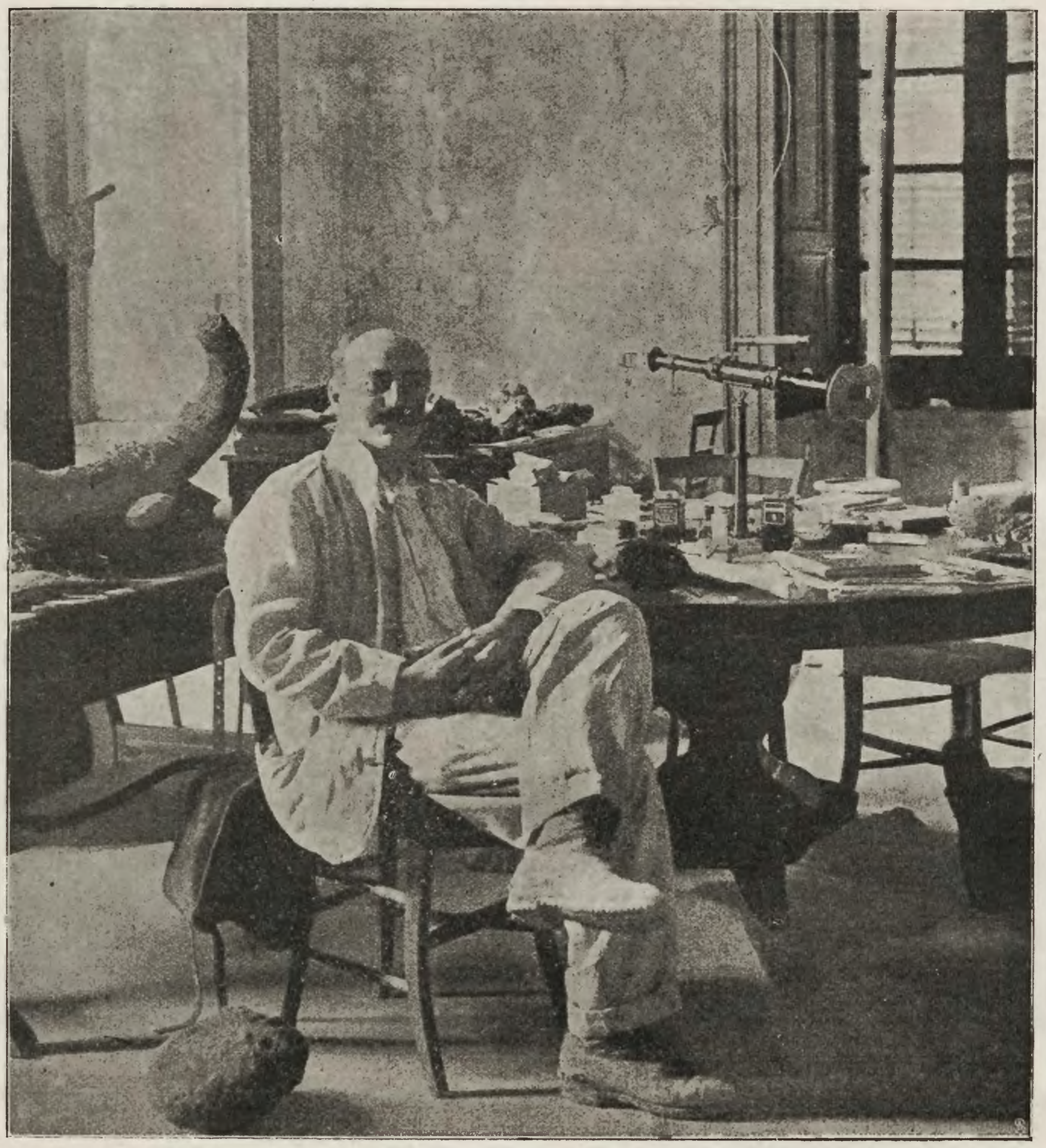
Neapol w niebezpieczeństwie.

Wioski i miasteczka, u stóp Wezuwiusza i na jego stokach rozsiane, padały jedne po drugich ofiarą wybuchu; przepyszne ogrody i winnice zamieniały się w ciągu kilku godzin w olbrzymią pustynię, zasłaną żużlami, popiołem i przepalonymi kamieniami. Osady ludzkie kwitnące dzień przedtem jeszcze wesołością i życiem, w jednej chwili przemieniały się w puste cmentarzyska, kryjące w popiele i w lawie setki ludzi. Przez kilka dni zawisła nawet nad Neapolem tak gęsta chmura popiołu i dymu, że na ulicach trudno było chodzić bez parasola; ludzie wyglądali jak kominiarze, gmachy zapadały się pod ciężarem popiołu, który deszczem prawdziwym spadał na miasto. Doszło do tego, że kiedy strumień lawy znalazł się w oddaleniu zaledwie kilometra od Neapolu, zaczęto się obawiać o to miasto. Przerażeni mieszkańcy przez całą środę biegali po mieście owładnięci szalonym strachem, wznosząc ręce do modłów i wzywając św. Januarego, patrona miasta, na ratunek, przekonani, że sami nie potrafią się oprzeć katastrofie i że cud jeno, za wstawieniem się świętego patrona, którego krew przechowuje się do dziś dnia w katedrze neapolitańskiej i raz do roku się burzy, jakby na znak, że święty ciągle o Neapolu pamięta, zdoła ich od zagłady uchronić. W środę odbyło się w kościele św. Januarego nabożeństwo błagalne, poczem wyruszyła ze świątyni procesya. Podczas nabożeństwa 'pła-



Straszny wybuch Wezuwiusza: Neapol w niebezpieczeństwie: Pochód lawy staje się coraz groźniejszy, tłumy pobożnych wyszły naprzeciw ognistym strumieniom z krzyżami i figurą świętego Januarego patrona Neapolu.

kali wierni a nawet krzyczeli, darli na sobie suknie, i bili się z całej siły w piersi. Przed statuą św. Januarego płonęły niezliczone świece, ofiarowane przez pobożnych. Księża śpiewali pieśni pobożne, gdy nagle odezwały się w kościele okrzyki: „Chcemy procesyi! Chcemy widzieć płynącą krew świętego“! I nagle grupa pobożnych pochwyciła statuę na ramiona i wyniosła ją na ulicę. Za statuą



Straszny wybuch Wezuwiusza: **Bohater nauki**: Sławny wulkanolog, podziw dziś w świecie bohaterstwem budzący profesor Matteucci, w obserwatoryum naukowem na Wezuwiuszu, zniszczonem w czasie obecnego wybuchu; nie opuścił on swego posterunku przez cały czas najstraszniejszego niebezpieczeństwa. Na stołach i na ziemi koło uczonego widać bomby stężałej lawy z dawniejszych wybuchów). (Do artykułu na stronie 20).



Jeszcze jeden telegram Wilhelma II: Hrabia Welsersheimb dyplomata austryacki, który odegrał wybitną rolę na konferencyi w Algesiras, a obecnie stanowi przedmiot uwag politycznych, z powodu ozdobienia go przez Wilhelma II orderem pruskim. (Do artykułu na str 20).

ze srebra szły dziewczęta i dzieci ze świecami w ręku, dalej postępowało duchowieństwo, a wreszcie posuwał się tłum ludu, liczący około 30 tysięcy głów. I tak szła ta olbrzymia procesya, pośród płaczu, krzyku i zawodzeń. Nagle stało się coś niespodziewanego. Zasłona z chmur popiołu przedarła się i lud ujrzał tarczę jasnego słońca. Lud runął na kolana i dziękował świętemu patronowi za cud, poczem powrócono ze statuą do kościoła. I gdy wreszcie deszcz popiołu zaczął ustawać, na ulicach odzywały się okrzyki: „Św. January uratował swój wierny Neapol“!



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Ill.“; aparatem redakcyjnym fotografował W. Lis w Krakowie.

Rękawka na Krzemionkach: Kilkunastotysięczny tłum uczestników tegorocznego obchodu tradycyjnej Rękawki na wzgórzach krzemionkowskich pod mogiłą Krakusa za Podgórzem przed wieczorem, w czasie największego ścisku we wtorek po Wielkiejnocy. (Do artykułu na stronie 20).

Emma Wolfsthalówna.

Od początku kończącego się obecnie sezonu muzycznego, pojawiało się na szpaltach codziennej i fachowo-muzycznej prasy zagranicznej nazwisko, chlubnie zapisane na karcie dziejów rozwoju muzyki w Galicyi, z imieniem zdrobniałem do jakiejś przedstawicielki płci nadobnej należącem. Imię Emci Wolfsthalównej. Prasa unosiła się nad wyjątkową muzykalnością dziewczęcia, chwaląc piękny rzewny ton, bezwzględną czystość gry, śmiałe i nadzwyczaj umiejętne prowadzenie smyka, a podnosząc przy tem wysoko i inne zalety młodocianej wirtuozki; sławiła jej wdzięk osobisty przedziwnie połączony z wdziękiem, z jakim oddaje nastroje i piękno muzyczne w przedstawianych przez się utworach skrzypcowych. Młoda skrzypaczka, dwunasto — czy trzynastoletnie piękne, nad wiek rozwinięte i urocze dziewczę, doznała gorącego przyjęcia we wszystkich niemal muzycznych centrach Niemiec i Europy, nawet tam, gdzie — artystka ta z Bożej łaski, stawała w szranki z mistrzami już znanymi i uznanymi — takimi, których nazwiska mimo powodzi produkcyj koncertowych i znużenia nią słuchaczy, jeszcze ciągnęły tłumy do sal koncertowych. Wyrazem tych tryumfów, dowodem uznania ze strony słuchaczy, były entuzyastyczne krytyki i recenzye.

Emcia Wolfstahlówna jest naszą sympatyczną rodaczką... Lwowianeczką, która swiatło dzienne ujrzała nad Pełtwią w najmuzykalniejszem środowisku Lwowa, bo w gmachu Skarbkowskim, w którym po dziś dzień jeszcze mieszkają jej rodzice. Rodzina Wolfsthalów jest rodziną muzyków i artystów. Ojcem Emci, jest zaszczytnie znany z chlubnej swej pracy wirtuoz-pedagog p. Maurycy Wolfsthal, profesor gry skrzypcowej w konserwatoryum lwowskiem, obaj stryjowie są wybitnymi wirtuozami na skrzypcach i wiolonczelli, bracia Emci, pianista i skrzypek, kończą naukę w Berlinie i lada dzień wyfruną w świat, — zaś reszta dalszej rodziny tworzy wyborną kapelę Wolfsthalów, znaną i wysoko cenioną na Podolu.



Emma Wolfsthalówna.

Jako drobna dziecina jeszcze wydzierała się Emcia do ojcowych skrzypiec, kiedy ten po całym szeregu codziennych zwykłych ćwiczeń, którym dziecko przysłuchiwało się zawsze z napiętą uwagą — odkładał instrument, tak, iż w końcu podarował profesor trzyletniej dziewczynce małą skrzypeczkę. Radość dziecka była wielka, a zapał do gry na drobnym instrumenciku nie do opisania. Zwolna aby nie osłabiać wątłej, nad wiek wybujałej roślinki, rozpoczął wytrawny pedagog-ojciec pracę nad talentem ukochanej dzieciny. Zdolności rozwijały się w bardzo pośpiesznem tempie, a wyborny mistrz dożył podwójnie wielkiej pociechy, bo pociechy ojca i pedagoga. Emcia rozwijała się fizycznie normalnie, wyrastając w dziewczę piękne, tryskające zdrowiem i pięknością, zaś uczenica rozwinęła się bez jakiejkolwiek obcej pomocy w wyborną i w całem znaczeniu tego słowa wytworną wirtuozkę, która przeszedłszy ze szkoły swego ojca-pedagoga wprost na estrady koncertowe zagranicy, zdobyła sobie od razu poważne stanowisko wśród wirtuozów współczesnych.

Sympatyczna artystka wyjeżdża obecnie do złotodajnej artystom krainy, do Ameryki, na szereg koncertów, zaangażowana przez jednego z najpoważniejszych impresaryów chicagowskich. Po powrocie, do Europy koncertować będzie w imprezie Bernarda Wolfa w Europie.

Młodej artystce życzymy szczerze jaknajświetniejszej karyery.

—*urs.* —

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

3

Napisał Bronisław Mazowiecki.

(Ciąg dalszy).

Kiedy za chwilę wróciła stara Teklunia ze śpiżarni do jadalnego, nie zastała już przy stole nikogo.

— Dziwnie pośpieszyli się z jedzeniem — pomyślała klucznica, kiwając głową, poczem jęła sprzątać po śniadaniu. A ledwo się któraś dziewucha z kuchni nawinęła jej pod rękę, zagadnęła ją zaraz, żali nie wie, dokąd i kiedy dziedzic z gościem wyszedł z domu.

— Dyć już dawno widziałam, jako poszli pan ze zakonnicą przez taras kędyś do parku.

Niegościnną nie była Teklunia, ale mimo to z całej duszy pragnęła tym razem pozbyć się ze dworu gościa w klasztornej sukience. Skoro tedy płocka tercyarka była już w domu niepotrzebna, a nocleg dostała i śniadanie spożyła, to byłaby jej, wiecznie dzwoniąca kluczami, gosposia jak najchętniej dała na bryczkę cały koszyk zapasów na drogę, byleby się tylko zabrać chciała z powrotem.

— Może nie mam racyi — myślała — ale mi się nie podoba.... Gdybym nie była widziała tego różańca na wózku przed samym dworem, jak na widowisko, możebym innemi na nią patrzyła oczyma.... Albo ja wiem.... Może Pana Boga obrażam, chociaż tak na pokaz to nie umiem być pobożną.... To trudno, nie podoba mi się ta tercyarka i wiem, że nic z tego dobrego nie będzie, skoro to się zwąchało z naszym panem Edwardem.... Także bigota kawałek..... A może ja Boga obrażam....

Kiedy tak, krzątając się po domu, rozmyśla poczciwa klucznica, dziedzic jest już ze swym gościem daleko, na krańcach parku.

Jedną stronę ogromnego ogrodu zamyka rzeczka. Jest tam miejsce ustronne, w które mało kto kiedy zachodzi, dziedzic sam chyba najczęściej.

Od bliższych dworu alei parkowych wiedzie tam ścieżka wąziutka a kręta między agrestami i wpada w nieduży placyk prostokątny, jakby żywopłotem odgrodzony wysoką gęstwiną krzaków kolczastych. Pośrodku cztery lipy odwieczne tworzą ogromne sklepienie cieniste ponad filarem omszałym, stanowiącym starą kapliczkę. Pod daszkiem, w wydrążeniu filaru, widzimy obraz staroświecki, z kolorami jeszcze wyraźnymi, a przedstawiający Matkę Boską Nieustającej Pomocy — w refleksach lampy wieczystej i w otoczeniu wianków licznych z kwiecia polnego.

Na przeciwnej stronie od wylotu ścieżki, a tuż na wprost obrazu w kapliczce, wyrasta z pośrodka krzewów obszerna altana winogradem oplecona. Nad wejściem do niej bieleje korą brzozową duży krzyż, na który w przedziwny sposób wspinają się powoje i bluszcze. W głębi, na wprost wejścia, duże okno prostokątne otwiera widok rozległy na szumiącą tuż poniżej rzeczkę wartką i hen daleko na pola po drugim jej brzegu.

Altana jest kryta i łatwo przed deszczem może chronić. Wewnątrz niej kilka wygodnych dębowych kanapek otacza okrągły stół kamienny.

Tu przywiódł swego gościa pan Edward.

Aliści zastajemy ich nie w altanie. Klęczą oboje u stóp filaru-kapliczki na kamiennym klęczniku szerokim i już od dobrej chwili odmawiają pilnie różaniec.

Wspólne modlitwy przeciągały się w nieskończoność.

Wreszcie pierwsza wstała siostra Felicya.

Za jej przykładem dźwignął się i pan Edward z kamiennego klęcznika, z trudem prostując ścierpłe nogi.

W milczeniu poszli do altany i tam usiedli widocznie znużeni na kanapce dębowej za okrągłakiem młyńskim, na którym dziedzic złożył kapelusz słomkowy i laskę.

Przez kilka minut słychać było tylko szum wody w dole w korycie rzecznem, szmer liści nad głowami i ciche a uparte brzęczenie muszek koło uszu.

Właśnie pan Edward machnął ręką dla odpędzenia uwijającej się koło jego spoconego czoła osy — gdy przerywając milczenie, zwróciła się naraz do niego tercyarka:

— Słuchaj mnie, bracie, w skupieniu ducha, albowiem Bóg tak chce, a nie ja, skromna służebnica Pańska...

Mężczyzna spuścił głowę mimowoli na piersi, kobieta zaś wzrok utkwiła w obraz pod lipami, jaśniejący jaskrawemi barwy od światła kolorowej lampy.

— Skoro mnie wczorajszego wieczora zdrożoną zaprowadziła klucznica do gościnnego pokoju we dworze, wzrok mój padł od drzwi od razu na wiszący nad łóżkiem święty wizerunek Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, tej samej Opiekunki naszej, która w tej chwili spogląda tu na nas z kapliczki, chcąc być świadkiem naszej ważnej rozmowy.

Tknięty temi słowy, pan Edward podniósł nieco głowę i w ekstazie zapatrzył się również w obraz oświetlony pod mrocznym cieniem lipowego sklepienia.

— Pomyślałam tedy zaraz, że nie musiałam snać skierować kroków pod dach niegodnego domu, skoro w nim odbywa się adoracya do Nieustającej Pomocy Bożej Rodzicielki... Po wyjściu więc klucznicy z pokoju, zamiast udać się na spoczynek, mimo, że marne ciało moje na pokusę wiedzione było widokiem wygodnego łóżka po długiej podróży uciążliwej na trzęsącej bryczce... padłam kornie na kolana przed obrazem pod lampką i oddałam się gorącej modlitwie. Jak ona długo trwała, nie umiałabym ci, bracie, odpowiedzieć, bom nie zwykła Panu Bogu i Jego Matce na godziny wymierzać swojej adoracyi. Tyle tylko, jak przez sen, pamiętam, żem wśród nocnej ciszy śpiącego dworu słyszała aż kilkakrotnie głośne pianie kurów... Tak w modlitwie cała zatopiona, zapomniałam i o spoczynku dla ciała... i w tem się nawet oryentować przestałam, gdzie to i po co znalazłam się na klęczkach przed świętym obrazem.

Tu rękę przed siebie wyciągnęła w stronę kamiennego filaru z kapliczką.

— Aż oto przypomniała mi to Ona Sama, ta Przenajświętsza Panienka, która na nas tak patrzy wyraźnie z pod owych lip... Kiedy więc tak klęczę na podłodze przed łóżkiem... widzę... tak widzę wyraźnie, jako tę kapliczkę w ogrodzie... Matka Boska wychodzi z obrazu z Dzieciątkiem na ręku i nachyla się nademną...

Zsunąwszy się z ławki, padła teraz siostra Felicya na kolana.

Spora chwila ciszy upłynęła znowu, zanim się siostra dźwignęła z ziemi i mówiła dalej:

— Dobrze proszę zważyć słowa moje, albowiem mówię to tylko, com usłyszała z Bożego rozkazu: tak chce Ona — tu ręką obraz znów wskazała — a nie ja, powolne Jej narzędzie niegodne.

Poczem ton zmieniwszy, ciągnęła powoli z namaszczeniem niezwykłem, a przybierając jednocześnie postawę jak najskromniejszą, jak najpokorniejszą:

— Zeszła do mnie z obrazu Najświętsza Panienka i pobłogosławiwszy mi dziecięcą ręką Swojego Syna, nakazała mi, bym się nie ważyła sprzeciwiać woli Niebieskiej i drugich jeszcze utwierdziła w tejże samej powolności dla Boskich wskazówek... Zabroniła mi dom ten opuszczać teraz, skoro mnie umyślnie w porę do niego przywiodła... Mojej oddała opiece dusze twoich dzieci, bracie, a nawet przykazała surowo, bym je natychmiast odebrała z piekła srogich niebezpieczeństw... Tylko Jej słowa powtarzam wiernie... Mam ustrzedz od pokus chłopięta, którym pisano ujść zatracenia... Ciebie zaś, bracie, kazano mi nie porzucać na pastwę spraw ziemskich, które odrywają twą duszę od Boga, a Ten był łaskaw wybrać ciebie na sprawy ważniejsze i dom twój upatrzył Sobie na zaczątek rzeczy doniosłych, których wykonawczynią mam być ja właśnie, skromna służebnica Pańska... Amen.

(C. d. n.)

Bohater nauki.

Ogólny podziw budzi prof. Matteucci, który mimo ogromnego niebezpieczeństwa nie opuszcza swego stanowiska w obserwatoryum na Wezuwiuszu. Siedzi on tam bez środków żywności, zapisuje każdy ruch, sygnałami ostrzega okolicę w krytycznych chwilach. Obserwatoryum samo jest kupą gruzów, gdyż kamienie z wulkanu biją w budynek z najbliższego sąsiedztwa. Korespondent berlińskiego „Lokal-Anzeigera“ opisuje swoją rozmowę z profesorem w następujących słowach:

„Prof. Matteucci powrócił właśnie z wycieczki ku czeluściom wulkanu, które wylewają lawę w stronę Torre del'Annunziata. Strumień ten długi na $4^{1}/_{2}$ kilometra, płynie trzema ramionami i zwrócił się we wtorek po południu w stronę miasteczka Annunziata, od którego dzieli go jeszcze tylko przestrzeń jednokilometrowa. Prof. Matteucci odkrył świeżo powstałe rozpadliny, które w przeciągu godziny mogą spowodować powstanie nowych strumieni lawy.

— W nocy ze soboty na niedzielę — mówił profesor — rozpętał Wezuwiusz wprost wszystkie swe podziemne siły. Deszcz popiołu i kamieni szalał w połączeniu z niesłychanie gwałtowną burzą. Bomby lawy uderzały o ściany zabudowań obserwatoryum, które dopiero co odniosło znaczne uszkodzenia wskutek trzęsienia ziemi. Sądziłem, że nadchodzi już ostatnia godzina; dałem więc rozkaz do wymarszu.

Podobnie jak kapitan ostatni opuszcza tonący okręt, tak Matteucci wyszedł ostatni z zagrożonego obserwatoryum i przepędził noc w najbliższej, głębiej położonej chacie wieśniaczej. W poniedziałek wczesnym rankiem powrócił wraz z całym personalem znowu na swój posterunek.

— Wtedy to nadeszły chwile — opowiadał prof. Matteucci — kiedy wszyscy znajdowaliśmy się między życiem a śmiercią. Często biegłem myślami ku mej rodzinie, która dręczy się obawą o mój los. Trzeba było jednak wytrwać na stanowisku, obserwować i przestrzegać, by ratować od zguby tysiące egzystencyj ludzkich“.

Korespondent widział aparaty, które pokazują, że Wezuwiusz długo jeszcze będzie czynny. Rozmowa miała miejsce wśród łoskotu padających kamieni, szumu popiołu i huku grzmotów. Ciemność panowała zupełna; tylko chwilami błyskawice z wulkanu rozjaśniały horyzont.

Jeszcze jeden telegram Wilhelma II.

Ostatni telegram wysłał wszechwładzca Niemiec do austryackiego ministra spraw zagranicznych hr. Agenora Gołuchowskiego. Brzmi on, jak następuje:

„W chwili, w której za zezwoleniem Pańskiego najłaskawszego Monarchy przesyłam hr. Welsersheimbowi wielką wstęgę orderu Czerwonego Orła, w dowód wdzięczności za jego skuteczne usługi w Algesiras, widzę się zniewolonym Panu z serca szczerze podziękować za niezachwiane poparcie moich zastępców. Był to piękny czyn wiernego sojusznika. Okazałeś się Pan świetnym sekundantem w „menzurze“ (t. j. pojedynku, według gwary niemieckich studentów) i możesz być Pan pewnym podobnych usług z mojej strony w podobnym wypadku. *Wilhelm*“.

W prasie wiedeńskiej wywołał ten telegram nawet poważne oburzenie. Z tonu depeszy wnioskowano słusznie, że cesarz Wilhelm uważa hr. Gołuchowskiego niejako za powolne swej woli narzędzie, sądząc choćby ze słowa — „sekundant“, że więc spełnia jeno jego rozkazy.

Hr. Welsersheimb, zastępca Austro-Węgier na konferencyi w Algeciras, świeżo udekorowany wstęgą orderu Czerwonego Orła, wyświadczył Niemcom podczas konferencyi niejedną przysługę, a działał jedynie wedle wskazówek hr. Gołuchowskiego. Cesarz Wilhelm obydwu nagrodził; hrabiego Welsersheimba, którego portret obok zamieszczamy, orderem, hr. Gołuchowskiego — telegramem dziękczynnym.

Rękawka na Krzemionkach.

W stronę mogiły Kraka dorocznym zwyczajem ciągnęły w t. zw. trzecie święto popołudniu takie tłumy z Krakowa, Podgórza i okolic, jak gdyby tam na Krzemionkach było do oglądania coś niesłychanego, czego ni potem ni przedtem nie dało by się widzieć, chociaż — nie mówiąc o obcych — każdy Krakowianin od dziecka zna doskonale wszystkie szczegóły dorocznego zwyczaju Rękawki... To jednak tradycya wiekowa pędzi tam tłumy we wtorek po Wielkiejnocy i przeciwko tej pobudce nikt nie myśli występować, a tylko z biegiem czasu byłoby pożądanem uszlachetnienie tego obchodu przez dawanie uczestnikom przyjemniejszej i urozmaiconej rozrywki godziwej z okazyi tłumnego ich gromadzenia się w ten dzień pod mogiłą Kraka. Z naszej fotografii łatwo, kto nie był, wywnioskuje, co tam za ścisk panował przed wieczorem po burzy, która kurz skropiła w południe pierwszym deszczem po długiej posusze.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.

Pierwsza — tej szukaj w abecadła rzędzie
Pomiędzy *g—i* z pewnością będzie.
Druga — to także sama litera
Sama w sobie nic nie zawiera,
Ale złączona *z trzecią* da nazwę człowieka,
Od którego każdy ucieka.
Całość — w Poznańskiem krwawą żagwią świeci,
Ona morduje biedne polskie dzieci.

ZAGADKA.

Ułożył J. Robak, Kraków.

Z liter, tworzących słowa: wieszczki, Peru, hej, siew, fis, cement, rok, ster, fuga, syn — ułożyć nazwiska pięciu powieściopisarzy polskich.

Kryptogryf.

Ułożył J. Robak, Kraków.

■	o	o	o	o	o	■
■	o	o	o	o	o	■
■	o	o	o	o	o	■
■	o	o	o	o	o	■
■	o	o	o	o	o	■
■	o	o	o	o	o	■
■	o	o	o	o	o	■

Kwadraciki i kółka zastąpić literami w tęn sposób, aby początkowe litery powstałych siedmiu wyrazów, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko powieściopisarza polskiego, zaś litery końcowe, w tymsamym czytane kierunku, tytuł jego najnowszej powieści.

Znaczenie wyrazów: 1. Jarzyna, hodowana u nas w ogrodach. 2. Roślina trawiasta, z której wyrabiają rózgi. 3. Nowe srebro. 4. Ryba cierniopromienna. 5. Nieliczne plemię Indyan, żyjące w Stanach Zjednoczonych. 6. Miasto we Francyi, przez pewien czas siedziba papieży. 7. Znakomity historyk polski XIX. wieku.

Zagadka trójkątowa.

Ułożył J. Robak, Kraków.

×						
×	o					
×	o	o				
×	o	o	o			
×	o	o	o	o		
×	o	o	o	o	o	
×	o	o	o	o	o	o
×	o	o	o	o	o	
×	o	o	o	o		
×	o	o	o			
×	o	o				
×	o					
×						

Krzyżyki i kółka zastąpić literami w ten sposób, aby litery, oznaczone kropkami, utworzyły tytuł doskonałej sztuki G. Zapolskiej.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zaimek. 3. Powieściopisarz polski. 4. Miasto i twierdza w północnej Serbii. 5. Wyspa na morzu Egejskim. 6. Powieść Prusa. 7. Imię kilkunastu książąt ruskich z rodu Rurykowiczów. 8. Słaby utwór literacki. 9. Dawny ciężarek apteczny, o wadze 35 gramów. 10. Miasto w gubernii piotrkowskiej w Królestwie polskiem, słynne z olbrzymio tam rozwiniętego przemysłu. 11. Ptak, doskonale umiejący gwizdać. 12. Pseudonim znanego piosenkarza K. Laskowskiego. 13. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył J. Robak, Kraków.

Ze zgłosek: a, a, a, a, an, ar, ba, bal, be, ca, ca, cen, ci, czech, czep, czyc, di, do, dor, dy, dyl, e, e, e, e, e, fe, form, gą, gli, go, gu, han, he, i, in, in, im, jew, jo, ka, ka, kał, kran, la, le, le, le, len, li, li, lo, lo, lo, łam, łun, man, me, mi, mi, mor, na, na, na, naj, nau, ni, ni, ni, nia, niaw, nie, nizm, no, o, o, o, o, on, pi, po, po, pold, pój, pre, rab, re, ręż, rium, rod, ry, sa, set, ski, spe, stro, sy, to, to, twin, ty, u, val, wa, wa, wal, wie, wiersz, za, zan, zod, żajsk — ułożyć 39 wyrazów, których litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół, utworzą tytuły jedenastu utworów Juliusza Słowackiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Mieszkaniec Arabii. 2. Miasto w starożytności, znane z biblii. 3. Słynny wódz kartagiński. 4. Urzędnik w starożytnym Rzymie, czuwający nad bezpieczeństwem publicznem. 5. Miasto w Szwajcaryi, w którem czas dłuższy przebywał Mickiewicz. 6. Imię męskie. 7. Imię męskie. 8. Mieszkaniec Litwy. 9. Imię żeńskie. 10. Miasto w Galicyi, słynne z obrazu cudownej Matki Boskiej. 11. Słynny kompozytor, autor opery „Pajace“. 12. Bóg miłości u starożytnych. 13. Bohater poematu Mickiewicza. 14. Nazwa owadów jeden dzień tylko żyjących. 15. Kwiatek dawany zazwyczaj na pamiątkę. 16. Inaczej zasłona. 17. Pokój sypialny w klasztorach i konwiktach. 18. Sól, złożona z siarczanu potażu i glinki. 19 Znakomity kompozytor polski. 20. Pisarz ludowy polski. 21. Mieszkaniec Czech. 22. Inaczej złom. 23. Imię żeńskie. 24. Inaczej rządek w książce. 25. Matka Hektora. 26. Roślina złożona. 27. Miasteczko w W. ks. Poznańskiem. 28. Inaczej broń. 29. Środek leczniczy. 30. Tytuł jednej z najlepszych powieści Orzeszkowej. 31. Płyn do picia. 32. Instrument muzyczny. 33. Kierunek w malarstwie, stworzcny w ubiegłym wieku przez Meneta we Francyi. 34. Godność wysokiego urzędnika tureckiego. 35. Błotniste ujście rzeki. 36. Pewna część dłuższego opowiadania, zamknięta sama w sobie. 37. Słynny awanturnik i szarlatan z XIX. wieku. 38. Wyspa na oceanie lodowatym. 39. Wyrażenie łacińskie, znaczące dosłownie: w nadziei.

Arytmogryf.

Ułożył J. Robak, Kraków.

						14						
					14	4	12					
				21	4	3	9	4				
			11	17	19	1	9	7	8			
		11	7	3	9	2	8	5	1	9		
	14	22	6	7	13	16	4	10	9	7	14	
14	4	3	1	2	16	19	6	20	1	4	3	18
	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	6	
		15	4	13	4	20	7	18	18	7		
			15	4	2	1	2	2	3			
				15	2	4	17	4				
					23	3	19					
						18						

W miejsce liczb wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły tytuł prześlicznej noweli H. Sienkiewicza.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Powieść Gawalewicza. 3. Imię żeńskie zdrobniałe; również tytuł większej noweli Sienkiewicza. 4. Jarzyna. 5. Wspaniały utwór Słowackiego. 6. Dwa imiona męskie. 7. Nowela Sienkiewicza. 8. Słynny ataman kozacki. 9. Generał i polityk francuski, przyjaciel Kościuszki z czasów walki za wolność Ameryki północnej. 10. Kapłan Apollina w Troi, uduszony wraz z dwoma synami przez węże, a umieszczony w przepięknej rzeźbie. 11. Rzeka we Francyi. 12. Gatunek antylop. 13. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya jako nagrodę **wspaniały tort biszkoptowy z cukierni lwowskiej Jana Michalika w Krakowie.**

Rozwiązanie zagadek z Nru 14.

Logogryf.

Kordela**S**, **r**a**k**, **O**rzeszkow**a**, **l**e**n**, **O**wa**d**, **W**ęgr**y**, **A**ro**n**, **M**onik**a**, **A**ndreje**w**, **U**nic**i**, **D**eotym**a**.

Królowa Maud — Skandynawia.

Zadanie krzyżowe.

Wesoły nam dzień dziś nastał.

Arytmogryf.

Ludwik Heller.

Kryptogryf.

Eliza Orzeszkowa — Pan Graba, Ad astra.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Kielmanowa Zakopane, Z. Bojukowa Bełz, M. Arbesbauer Lwów, J. Ciszyński Rzeszów, F. Jeleński Nowy Targ, Siła Nowiccy Sokal, Z. Miłkowski Bełz, J. Aleksandrowicz Kraków, J. Pompianka Kraków, J. Sulkowski Kraków, K. Święch Myślenice, B. Ramułtowa Jeżów, F. Kulesza Kraków, Z. Żukiewicz Sambor, J. Zehnwirth Klimkówka, K. Fuchs Peczeniżyn, K. Lassand Warszawa, Wł. Halkiewicz Czerhawa, J. Bobek Kraków, Z. Szymczakowska Kraków, J. Kulczyńska Kraków, J. Lipińska Wenecya, M. Oberska Grzegórzki, J. Wodziczkówna Germakówka, M. Weimerowa Nowy Sącz, K. Jaroszkówna Nowy Sącz, N. Auerówna Podgórze, O. Piotrowska Kraków, K. Jaroszek Kraków, Z. Horoś Leoben, Czytelnia polska Leoben, Wł. Nowiccy Wiśnicz, Bl. Pieterkiewiczowa Czerniowce, M. Cetera Dubiecko, J. Rodakowska Kulików, H. Karatnicka Nadwórna, A. J. Suwald Zarszyn, St. Fiałkiewiczowie Sądowa Wisznia, Fr. Kalita Gawłuszowice, E. Bogdalska Koropuż, M. Opolska Czarny Duuajec, Kuszpeciński Kraków, M. Gałuszkiewicz Lwów, S. Samueli Limanowa, St. Gajdeczka Sieniawa, E. Mroziński Mosty wielkie, J. Czechowicz Mikołajów K. Morawska Dynów, Al. Bocson Bóbrka, K. Kaczarowski Sanok, J. Zaruska Poronin, Urząd pocztowy Starzawa, A. Surowiecki Kraków, R. Orłowski Kraków, K. Jurkiewicz Tłumacz, H. Ulrych Malin, A. Zimer Mikulińce, Stow. „Gwiazda“ Rzeszów, Fr. Milk Żyrardów, J. Badura Rożdzień, W. Żralski Podgórze, M. Rożański Gorlice, M. Świtlikowa Rzeszów, H. Mokrzycka Turbia, T. Domain Sanok, H. Zielińska Manajów, K. Chodkiewicz Zbydniów, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno. J. Dobrzańska Kołomyja, H. Plechawska Stanisławów, Wł. Karatnicki Worochta, St. Krzyżanowski Oświęcim, A. St. Bassara Niwiska, B. Meszyński Drohobycz, H. Michalska Łękawica, J. Wróbel Łękawica, J. Biegoń Sucha, M. Bossowska Bistoszowa, Prenumerujący w Kozach, E. B. Warszawa, A. Pukalski Andrychów, J. Kobylański Honiatycze, Julia Dobronoki Warszawa, A. Wiśniowski Sulimów, J. Popiel Buczacz, A. Batko Lwów.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie p. **Stanisław Krzyżanowski w Oświęcimiu.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.